



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 2 (106)/2021

ISSN 1233-7633



Mitych
wakacji!

Heb je wel eens een eland of wisent in het echt gezien? Kilometers lange fiets- en wandelpaden slingeren door een van de oudste nationale parken in Europa.

Het Białowieża Nationaal Park is erkend door UNESCO als "World Biosphere Reserve" en is tevens vermeld op de lijst van Wereld Cultuur Erfgoed.

Ontdek de geheimen van het Białowieża oerbos!



www.polen.travel

**BIAŁOWIEŻA
NATIONAAL PARK
IN POLEN**



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy,

Serdecznie witam stałych Czytelników i tych, do których trafiamy raz pierwszy. Przypomnę, kwartalnik „Scena Polska” zaczął się ukazywać w 1994 roku, dwa lata po powstaniu w 1992 roku Sceny Polskiej w Holandii zarejestrowanej jako Stichting Pools Podium. Początkowo, nasze pismo rozdawane były w teatrach w Holandii z okazji polskich przedstawień teatralnych dla Polonii pod hasłem Teatr Bez Granic. Do dzisiaj to hasło jest aktualne, tylko, że sytuacja jest inna. Za rok spotkamy się po raz trzydziesty i spróbujemy pokazać jak zmieniał się nasz Teatr. Na szczęście jest kwartalnik, w którym zachowaliśmy wszystkie ważne wydarzenia. Jest co wspominać.

Pismo zmieniało się, zmieniał się świat. Korzystanie z dóbr polskiej kultury stało się bardziej dostępne. Znikały granice i bariery, coraz łatwiej poruszaliśmy się po Europie, coraz częściej korzystaliśmy z technicznych rozwiązań dostępu do wydarzeń kulturalnych. Również bariera językowa przestała jakby istnieć. Tłumaczenia komputerowe.... A jednak. Wspólne przeżywanie wzruszeń w sali teatralnej, spotkania z aktorami na żywo, kontakt z pięknym językiem polskim. Festiwale filmowe, które Scena Polska zaczęła organizować w Holandii już w 1997 roku, a klimatu których nie zastąpi zwykłe pójście do kina...

Miejmy nadzieję, że pewne formy spotkań wrócą, a Scena Polska w Holandii dalej będzie przyciągać publiczność na organizowane spotkania w teatralno-fil-

mowym klimacie. Mamy doświadczenie i zapał, mamy dzięki bezinteresownemu zaangażowaniu autorów pismo, które jest pomostem między światem artystów i publicznością, pismo, które jest platformą spotkań przyjaciół szanujących polską tożsamość i siebie nawzajem.

Scena Polska w Holandii w przyszłym roku będzie obchodzić swoje 30-lecie. Mam nadzieję, że razem z widzami i z grupą niezastąpionych wolontariuszy przygotujemy program na miarę naszych pragnień. Być może, że jeszcze w tym roku uda nam się spotkać i podzielić swoimi doświadczeniami. Pokonamy wspólnie bariery w naszym Te-

atrze Bez Granic. Jest zapał i optymizm. Tak jak przez ostatnie 29 lat!

Dzielę się też smutną wiadomością, że niespodziewanie odeszli na zawsze Alexander van Grieken i Rein Bakhuizen van den Brink. Zapamiętamy ich jako Holendrów z sercami otwartymi na Polskę. Pustka, żal, niedowierzanie... Strapionym rodzinom składam wyrazy szczerego współczucia.

Nasze życie płynie dalej. Korzystajmy z niego w sposób rozważny i cieszymy się tym co nam przynosi każdy dzień. Życzę wszystkim miłych i zdrowych wakacji!

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



Alexander van Grieken „Windsurferzy w Scheveningen/ Windsurfers bij Scheveningen”

SCENA POLSKA | Nr 2(106)/2021 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: fot. Nicolas Schroten

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Eurowizja od kuchni



ALEKSANDRA CZURKO

18 kwietnia był pięknym dniem. Po roku zastojem w cateringu mogłam po raz pierwszy pracować przy dużym wydarzeniu. Był to bowiem pierwszy dzień pracy w kuchni przygotowującej posiłki dla wszystkich zaangażowanych w organizację Eurovision Songcontest 2021. Cały teren hali Ahoy w Rotterdamie (a nawet trzy dodatkowe namioty) miały powoli stać się areną największej imprezy zorganizowanej po zamknięciu Europy na skutek pandemii. Jakże pasujący okazał się slogan imprezy „Open Up”!

Po uzyskaniu akredytacji online kolejnym krokiem był test na Covid w ogromnym namiocie, gdzie w jednym z 30 stanowisk miałam „przyjemność” być co 48 godzin testowana. Całość bardzo mi się kojarzyła z mrocznym obrazem przyszłości, przedstawionym w serialu „Black Mirror”. W specjalnej maseczce, kierowana przez strzałki, przechodziłam kolejne etapy uzyskiwania punktów na moim identyfikatorze, punktów, które udostępniały wejście do określonych części terenu.

Wszystko było tego warte, bo atmosfera była wspaniała. Zaczynając od pierwszego dnia, kiedy około 200 osób miało, po raz pierwszy od dłuższego czasu, okazję pracować. Nie tylko zarabiać, ale po prostu być wśród ludzi, wykonywać pracę, którą lubię. Od budujących scenę, przez techników

dźwięku, dekoratorów, personel sprzątający, event managers, wielu innych i oczywiście nas – kucharzy.

Do naszej dyspozycji była jedna z większych hal Ahoy. Urządzona tak, żeby w najważniejszy dzień Festiwalu 800 osób mogło bezpiecznie (Covid!) zjeść lunch i obiad. Mimo wielu obostrzeń i wielkiej przestrzeni, cała stołówka była urządzona przytulnie, kolorowo i stała się miejscem, gdzie każdy chętnie przebywał.

Z tygodnia na tydzień ilość ludzi, którym serwowaliśmy lunch i obiad wzrastała, a nasza klientela zmieniła się razem z fazami przygotowań. Na początku byli to głównie duzi – i bardzo głodni – mężczyźni budujący sceny, itp. Mówiliśmy o nich pieszczotliwie „kaski”, ponieważ każdy paradował dumnie w żółtym zabezpieczeniu głowy. Nasze z góry zaplanowane cztery kanapki na osobę okazały się niewystarczające. Parę dni po tym, jak dostosowaliśmy ilość do apetytów, zjawiała się nowa grupa: technicy, kamerzyści, dźwiękowcy. Niemal jednocześnie z nimi dołączyli tancerze oraz wizażyści, a wraz z nimi wzrosła ilość specjalnych życzeń, jak dieta wegańska lub bezglutenowa.

Powoli stawaliśmy się „Eurowizyjną rodziną”, poznawaliśmy się nawzajem podczas krótkiego spotkania przy bufecie. Główny dyrektor produkcji lubił tylko pszenny chleb z ‘jonge kaas’ (młodym serem, red.) i pomidorem, menadżerka Ahoy zawsze się śpieszyła, a dyrektor artystyczny pytał, jak się mają moje dzieci. Mam nadzieję, że oddaje to trochę atmosferę, która panowała w naszej ponad czterystumetrowej stołówce.

Zaprzyjaźnieniu się pomagała z pewnością wysoka jakość serwowanych posiłków. Na lunch do wyboru były trzy sałatki, dwie zupy i siedem rodzajów kanapek, na przykład ze świeżym tatem, kaparami i szalotką, albo robionym domowo humusem



z grillowanymi warzywami i parmezanem. Na obiad dziewięciu kucharzy komponowało trzy różne opcje posiłku. Dorsz z piekarnika na purée z groszkiem, sos z białego wina i świeże zioła; pół kurczaka z pieczonymi młodymi ziemniaczkami i sałatka coleslaw; wrap z chrupiącym falafelem, marynowanymi buraczkami i tzatziki. To przykład jednego menu, które zmieniało się co osiem dni. Według paru osób z organizacji Eurowizji, nasze menu było w najlepszej trójce, wraz z Kopenhagą i Wiedniem.

Mimo, że nie mieliśmy wstępu do głównej hali, na ekranach zawieszonych w stołówce (z wielkim napisem ‘prohibited to film’ którego prawie mi brakowało, kiedy oglądałam półfinał w domu) można było obserwować, co dzieje się na scenie. Dzień finału nie był dla nas w kuchni inny, niż poprzednie dni, ale mimo tego czuć było specjalną energię. Projekt nad którym pracowało tyle osób w końcu się realizował i cała Europa go obserwowała!

Podobno wszystko poszło idealnie. Główny dyrektor, ten lubiący tylko młody ser i pomidory, powiedział mi następnego dnia, że było lepiej, niż wydawało się to w tych warunkach możliwe.

Po siedmiu tygodniach przygotowań, tygodniu show i pięciu dniach sprzątkowania terenu, wszystko w Ahoy wróciło do poprzedniego stanu. W międzyczasie Europa powoli zaczęła się otwierać, wracając do normalności. Eurovision Songcontest 2021 – „OPEN UP” stał się, przypadkowo, pięknym pierwszym krokiem w tym kierunku.



„Stołówka” w Ahoy

fot. autorka



Eurowizja z „Cracovia”



GRAŻYNA GRAMZA

Pod koniec marca w „Eindhovens Dagblad” ukazał się artykuł o niecodziennym wydarzeniu. Lenny Kuhr, piosenkarka, kompozytorka i autorka tekstów, po pół wieku odzyskała gitarę, z którą 52 lata temu zajęła pierwsze miejsce na festiwalu Eurowizji w Madrycie. Piosenką, którą wówczas zaprezentowała, był „De Troubadour”. Lenny otrzymała wtedy 18 punktów, podobnie jak reprezentanci Francji, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, ale nie zmienia to faktu, że sukces był ogromny i dał jej impuls do dalszego tworzenia i zrobienia kariery. Mieszka niedaleko Eindhoven, w Nederwetten, ale od czasu do czasu gości w telewizji, więc nadal jest rozpoznawalna, chociaż skończyła już 71 lat. Jej piosenki znajdziemy w Internecie, ale jej najnowszy album na CD ukazał się w maju tego roku. Nosi tytuł „Favorieten Expres”. Poprzednią płytę „Het Lied Gaat Door” piosenkarka nagrała dwa lata temu. Wracając do gitary z 1969 roku, to Lenny była wówczas związana z Jaapem. Kiedy się rozstali gitara powędrowała z nim w świat. Był to egzemplarz kupiony w sklepie w Eindhoven, który prowadził Noud van Erp. Van Erp był także nauczycielem Lenny. Założył szkołę muzyczną, która działała między 1961-1993 rokiem. Uczył gry na akordeonie, gitarze i mandolinie. Zorganizował orkiestrę, która osiągała sukcesy nawet za granicą. Niezwykle barwna postać i miał wpływ na rozwój muzyczny Lenny i wielu innych młodych ludzi w Brabancji. Gitara, którą kupiła przyszła zwyciężczyni Eurowizji to jasnobrązowy instrument szwedzkiej marki „Lewin”. Ta, którą dostała od wdowy po byłym chłopaku, to „Yamaha” ale piosenkarka nie chciała przyznać, że żona Jaapa pomyliła się. Gitara stała u nich całe lata. Była szczelnie zapakowana, a mąż twierdził, że to „ta”, z którą Lenny zaśpiewała „De Troubadour”. Jakiś czas potem do Lenny ponownie zadzwoniła wdowa z wiadomością, że znalazła inną gitarę i właśnie ta druga okazała się tą właściwą. Dla piosenkarki odnalezienie instrumentu stało się inspiracją do nagrania piosenki,

która znalazła się na nowym albumie. Lenny wystąpiła również w tegorocznym finale Eurowizji 22 maja, na który zaproszono także innych zwycięzców z poprzednich lat.

Dlaczego piszę o Lenny Kuhr?

Lenny jako nastolatka występowała w zespole „Cracovia”, o czym sama pisze z nostalgia na swojej stronie. Znajdują się tam jej pierwsze zdjęcia ze sceny, różne wspomnienia i artykuły o występach z „Cracovia”. Tę grupę w Eindhoven założyli w 1958 roku Janos Zadora oraz Franciszek Caputa. Janos Ferencz Zadora miał polskich rodziców ale urodził się w Budapeszcie w 1916 roku. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Czechosłowacji. Drugą wojnę światową



Cracovia – w środku Lenny

wą przeżył w obozie jenieckim na terenie Niemiec. Jeszcze dwa lata po wojnie występował w polskim teatrze, a kiedy ten rozwiązano trafił do Holandii. Janek, bo tak nazywano Janosa Zadorę, ożenił się z Cornelią Helsloot i miał z nią dwoje dzieci: Helenkę i Edwarda. Idea powstania zespołu narodziła się w czasie spotkania świątecznego Polskiego Towarzystwa Katolickiego w Eindhoven, kiedy okazało się, że dzieci Polaków nie potrafią śpiewać kołęd w języku ojców. Trzeba było temu zaradzić. I tak narodziła się „Cracovia”.

Przez ponad pięćdziesiąt lat wystąpiło w niej wiele osób polskiego pochodzenia, a dla dzieci stanowiła miejsce, w którym uczyły się języka i polskich tradycji narodowych. Pierwszy występ grupki dziewczynek odbył się 4 maja 1958 roku w Limburgii. Początkowo grupa miała problem z miejscem do ćwiczeń ale z czasem próby organizowano w domu parafialnym kościoła Św. Teresy. Do 1964 roku dzieci występowały raczej w swoim kręgu, a zespół nie był znany. Występy „Cracovii” zazwyczaj uświet-

niały spotkania PTK i różne polskie święta. Dopiero przyznanie pieniędzy z „Prinses Irenafonds” umożliwiło wyjście grupy z występami do szerszej, niekoniecznie polskiej, publiczności. Wyróżnieniem dla „Cracovii” był występ w czasie obchodów związanych z zaślubinami księżniczki Beatrix, późniejszej królowej, z księciem Clausem, które zorganizowano na rynku w Eindhoven. Było to możliwe dzięki współpracy z Philips Harmonie. W 1966 roku zespół otrzymał dotację z gminy na zakup kostiumów, które wyglądały na scenie niezwykle kolorowo, a to przyciągało zainteresowanie wszystkich młodych artystów i publiczności. Wśród znanych osób występujących z „Cracovia”, oprócz Lenny Kuhr, można wymienić jeszcze: czeską piosenkarkę, Melusę Dufkową, która mieszkała w Eindhoven, barytona Antoniego Dutkiewicza, który w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych związany był z belgijskimi i holenderskimi teatrami oraz nieżyjącą już śpiewaczką operową, Christine Deutecom. Przez długie lata przygotowaniem artystycznym zespołu zajmowała się H. van Meerloo, a po dziesięciu latach występowały w „Cracovii” jeszcze Nusia Redzimski i Lieke Łyskawa. O związkach tej ostatniej z Polską i grupą „Cracovia” pisze Hanneke Verbeek w książce „Sto lat tęsknoty. Historia Polaków w Holandii”. Lieke Łyskawa, która nie opuściła zespołu nawet po zamianie go w chór w 2007 roku, wystąpiła w 2011 roku na obchodach wyzwolenia Bredy, a najmłodszy uczestniczy rozpoczęli Polonijny Dzień Dwujęzyczności w Schiedam w 2018 roku. Obecnie, przez pandemię, nie słychać o działalności zespołu, ale pewnie, jak wszystko się skończy, będzie można znowu zobaczyć i posłuchać ludowych tańców i piosenek z Polski.

Źródło: <https://www.lennykuhr.com>



CD jest na BOL: <https://www.bol.com/nl/p/favorieten-expres/930000005047901/>

Sobótkowa Noc Kupały



JOANNA DUDA-MUROWSKI

Najkrótsza noc, a tyle w niej dziwów, tyle zaklęć, magii, tyle pieśni, tańców, żywiołów, paproci i kwiatów. I tylko jeden kwiat paproci, który: „Zakwita raz, tylko raz przez jedną noc pachnie tak ... i zapala się tylko na parę chwil... Przez taką noc Królowa Jednej Nocy ogląda świat”.

Żeby go znaleźć, musimy wykazać się nie lada odwagą, czystym sercem i właśnie w tę najkrótsza, ciemną noc z 21 na 22 czerwca, nago iść do lasu, poruszać się tylko tyłem, nie oglądając się, a drogi bronią nadto mokradła, demony i strachy!

Gdy już znajdziemy cudowny, biały kwiat, wystarczy wypowiedzieć zaklęcie:

*Nasiężrzale, nasiężrzale,
Rwę cię śmiale,
Pięcią palcy, szóstą dłonią,
Niech się chłopcy za mną gonią;
Po stodole, po oborze,
Dopomagaj, Panie Boże.*

Zerwać kwiat, a zapewni on nam bogactwo i powodzenie w życiu.

Wierzyć, nie wierzyć, ale spróbować warto, bo tej nocy rzeczywiście ziola właśnie wtedy zebrane mają magiczne działanie, a i żywioły mają większą moc.

A ponieważ miłość, też jest żywiołem, to i namiętność potężną się staje (choć niejednokrotnie krótką!).

Dobrze wiedzą o tym nadobne panny, które zawczasu wiją wianki i puszczają je na wodę, chytrze oznaczając, by umiłowany wiedział, który wyłowić, tym samym zdobywając zezwolenie, na bycie z tą panną, w tę krótką noc.

Może dlatego tradycje obchodzenia tej nocy przetrwały do dzisiaj?

Bo też jest to najradośniejsze, ze słowiańskich świąt!

Według pieśni litewskiej, powstało już pierwszej wiosny, po stworzeniu świata, kiedy Księżyc zaślubił Słońce, a te zaraz po nocy poślubnej, z rozkoszy uniosło się ponad horyzont.

Księżyc, jak to facet, wkurzył się i niewiele myśląc (też, jak to facet), zdradził Słońce z Jutrzenką (bo ta była bardziej w zasięgu!). Od tej pory małżonkowie (ponieważ nie spisali interczyzy przedmałżeńskiej), ciągle ze sobą wojują, a najbardziej podczas przesilenia letniego, czyli z 21 na 22 czerwca.

Dlatego też, noc ta poświęcona jest przeciwstawnym żywiołom: wodzie i ogniu.

Nazwę Kupałnocki, Nocy Kupały wzięto, od słowiańskiego bóstwa – Kupały.

Jest jeszcze inna nazwa tej nocy – Sobótko, od imienia pięknej dziewczyny, której narzeczony Sieciech nie zdołał obronić, przed napaścią i została ugodzona w samo serce. A rzecz zdarzyła się właśnie w noc letniego przesilenia.

My znamy to święto jeszcze pod inną nazwą: Nocy Świętojańskiej, ale dopiero od X wieku i obchodzone jest w wigilię św. Jana (mówimy często, że z Wandy, na Jana), czyli z 23 na 24 czerwca.

A jakże się to stało? Spieszę opowiedzieć. Ponieważ Kupałnocka, Sobótko, były tak mocno zakorzenione w tradycji i tak ochoczo kultywowane, że mimo narastającej chrystianizacji kraju, Kościół nie potrafił jej zwalczyć, więc używając fortelu, zamienił ją w święto Jana Chrzciciela, związanego przecież również z wodą, którą chrzcili ludzi.

A że imieniny Jana poprzedza Wanda, to już nie muszę tłumaczyć, że wody mamy więcej, bo aż całą Wisłę.

*„Nie znano kiedyś imienia Boga.
Nikt darów nie niósł Mu do ołtarza.
Mimo to Pan Bóg nawet dla pogan
piękno tej nocy już w Raju stwarzał”*

Franciszek Kobryńczuk
– „Noc świętojańska”

Należy również zapamiętać, że osoby biorące czynny udział w sobótkowych uroczystościach, przez cały rok będą żyły w szczęściu i dostatku!

Zainspirowana „Wiankami”, na których bywałam u Zosi Schroten-Czerniejewicz w Holandii, zaczęłam inicjować Poetyckie Noce Świętojańskie w Niemczech, które stały się już ważnymi datami imprez wpisanych w kalendarze. W historię tej nocy wpisała się już cała plejada Artystów polonijnych z Holandii, Belgii, Włoch, Irlandii i Artystów z Polski, którzy śpiewali, tańczyli, prezentowali swoją poezję...

W tym roku zrobiliśmy wszystko, by zachować magiczną atmosferę nocy świętojańskiej, chociaż pandemia nie pozwoliła nam tradycyjnie spotkać się na letniej łące.

Były śpiew, tańce, poezja, opowieści świętojańskie i rozstrzygnięcie konkursów: fotograficznego oraz na najpiękniejszy wianek!

X Poetycka Noc Świętojańska odbyła się w formie Patchworka, łączącego świętojańskie nagrania wspaniałych wykonawców, którzy wystąpili specjalnie dla Was.

Wszystkich serdecznie zapraszam do obejrzenia filmu „X Jubileuszowa Poetycka Noc Świętojańska”, którego premiera odbyła się 20 czerwca br.:

- You Tube na kanale: Poezjada,
- Facebook na profilu: Poezjada dla Was
- Profil: Joanna Duda-Murowski.



Noc Kupały

fot. JDM

JOASIA D-M

Pamięci Wandy Sieradzkiej de Ruig

Jak to z Wandą na „Wiankach” bywało....

W historię Sceny Polskiej wpisały się na zawsze tradycyjne „Wianki” organizowane w Forcie Blauwkapel w Utrechcie. Wiązaliśmy je z obchodami imienin Wandy, która uwielbiała tę imprezę mogąc cieszyć się tak wielką liczbą widzów i słuchaczy. Bo Wanda traktowała uczestników świętojańskiej imprezy jak swoich osobistych gości, a my lubiliśmy być na Jej Imieninach!

Zatem poza wyplataniem kwiecistych wianków, tańczącym i śpiewającym orszakiem nad okalającą fort fosą („Wiła wianki i rzucała je na falującą wodę”), harcami przy ognisku, pieczeniem kiełbasek i smakowaniem bigosu, wznosiliśmy toast za zdrowie Wandy „Przypalanką Teatralną” autorstwa Eugeniusza Brzezińskiego. Wanda była wśród imienniczek bezkonkurencyjna, bo jedyna, ale Janów to już było co najmniej kilku, więc im także składano życzenia. Był to jednak zawsze wieczór Wandy...

W programach artystycznych brali udział wspaniali artyści m.in.: Kapela Po Zagonach z Poznania, Kapela z Teatru z Supraśla, Jan Długosz z Krakowa...

Stałym punktem programu była autorska recytacja wiersza Wandy „Biegnę Wanda” i wspólne śpiewanie „Nie płacz kiedy odjadę”. Od lat nie słychać w czerwcu naszych śpiewów w Forcie, nie ma spotkań z Wandą, ale są wspomnienia. A może w przyszłym roku zapłonie znów w Utrechcie świętojańskie ognisko i Scena Polska powróci do wspólnych spotkań? Znów zaprosimy do kwiecistego orszaku i poczęstujemy „Przypalanką Teatralną”, wznosząc toast za wspomnienia i za pamięć o Wandzie Sieradzkiej de Ruig, której wkład w trzydziestolecie istnienia Sceny Polskiej, a zwłaszcza poetycką atmosferę Wianków, jest nie do przecenienia.

Ta garść wspominków trafi zapewne do serc starszych stażem uczestników imprez Sceny Polskiej (Wanda była przeciwnikiem liczenia komukolwiek lat!), ale Noc Świętojańska to przede wszystkim święto pańien i kawalerów, to święto młodości! Biorą w nim udział całe rodziny, a ta najkrótsza noc w roku, gdy prawie do północy jest jasno to także miły czas dla najmłodszych na których czeka wiele atrakcji i lemoniada. Wspomnianej „przypalanki” nie polecamy niewprawionym.

Do zobaczenia za rok!

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



Wanda Sieradzka de Ruig *Biegnę, Wanda*

*Biegnę, Wanda – w noc czerwcową,
W noc Kupaty, kwiecica pełną,
Pośród drzew, co nad mą głową
Wparte stały w nieba ciemność.
Szukam ziela zakłętego
Co zakwita raz: tej nocy.
Biegnę, szukam – i wciąż nie wiem,
Gdzie się skrywa kwiat paproci.
O świtaniu – zadyszana,
Gdy już zblednie sierp księżycy,
Padnę w trawy na kolana
Przed posągiem Swarożycy.
Z ziemi wzrok kierując w niebo
Spytam z sercem pełnym trwogi-
Nie ma nigdzie szczęścia mego,
Czy też nie znam ja doń drogi?*



Na polskim Dzikim Wschodzie



KONRAD J. ZARĘBSKI

Maciej Bochniak, prywatnie mąż naszej eksportowej gwiazdy Joanny Kulig, kojarzony jest głównie z filmem muzyczno-socjologicznym. Takie były dokumenty „Miliard szczęśliwych ludzi” (o próbie podboju Chin przez disco-polowy zespół Bayer Full) i „EthiopiQUES. Muzyka duszy” (o fenomenie etiopskiego jazzu z lat 70.), taka też była komediowa fabuła „Disco polo”, zagładająca za kulisy najpopularniejszej branży muzycznej w Polsce. Ale to się zmieni – za sprawą „Magnezji”, wyprawy na polski Dzik Wschód: sowieckie pogranicze przełomu lat 20. i 30.

A wszystko zaczęło się od „Disco Polo”. Po sukcesie filmu Bochniaka, jego współscenarzystą Mateusz Kościukiewicz (prywatnie aktor i mąż reżyserki Małgorzaty Szumowskiej) zasugerował kontynuowanie współpracy. Panowie postanowili więc stworzyć współczesny film sensacyjny, rozgrywający się w świecie handlu narkotykami, którego obserwatorem jest wścibski fotoreporter. Zadanie wydawało się karkołomne – do chwili, kiedy nie trafili na artykuł o Sergiuszu Piaseckim, autorze „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”. W tej chwili godzi się przypomnieć książkę i jej autora. „Kochanek” rozgrywa się w latach 20. XX wieku w środowisku przemytników na polsko-sowieckim pograniczu: to powieść awan-



Maciej Bochniak Joanna Kulig

fot. Kino Świat.

turniczo-sensacyjna, przedwojenny bestseller, przetłumaczony na kilka języków, w czasach PRL-u zakazana (choć nieudolnie sfilmowana jako „Przemytnicy” w latach 80.). Co było powodem zakazu? Autor, wspomniany Sergiej Piasecki – w chwili wydania powieści (przez „Rój” Melchiora Wańkowicza) więziony na Świętym Krzyżu (bodaj najcięższym więzieniu Rzeczypospolitej), odsiadujący wyrok 15 lat za napady i rozboje. Ponoć przed karą śmierci ocaliła go wojskowa przeszłość: otóż Piasecki służył w wywiadzie na polsko-sowieckiej granicy, do żołądorabiał przemytem i opisywane w powieści zdarzenia znał z autopsji.

I tak „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” stał się kluczem do opowieści o przemytniczym klanie, dogadującym się nie tylko z konkurentami po drugiej stronie sowieckiej granicy, ale i trzęsącym okolicą. Zapomniane przez Boga i władze miejsce staje się schronieniem dla różnych wyrzutków, w tym dla braci-bliźniaków, prowadzących miejscowe atelier fotograficzne, nie przypadkiem umiejscowione na wprost lokalnego banku: bracia planują

wielki skok na bankowy skarbiec. W tym samym czasie władzę w klanie przemytniczym przejmują kobiety, do głosu dochodzą nie tyle zimne kalkulacje, ile gorące emocje. Wielka awantura – i to taka, która łatwo przekroczy granicę – wisi w powietrzu, wystarczy iskra, by nagle wszystko wyleciało w powietrze. A tu nagle pojawia się cały snop iskier: jedna z nich dotyczy bankowego skarbcza, gdzie przemytniczy klan przechowuje swoje zasoby, druga to nagła śmierć jednej z rządzących klanem sióstr, trzecia wreszcie – pojawienie się w okolicy zdecydowanej na wszystko pani komisarz, prowadzącej śledztwo w sprawie morderstwa.

Brawurowa, jakby wyjęta z westernu kulminacja, wieńczy to niezwykle dzieło. Po drodze Bochniak szykuje mnóstwo niespodzianek, dając pole do popisu całej plejadzie gwiazd polskiego kina – cudownie zsynchronizowanym Dawidowi Ogrodnikowi i Mateuszowi Kościukiewiczowi jako bliźniakom, Mai Ostaszewskiej, Małgorzacie Gorol i Borysowi Szycowi (to nie pomyłka!) jako rządzącym klanem siostrom, a także Andrzejowi Chyrze, Agacie Kuleszy, Magdalenie Boczarńskiej, Bartoszowi Bieleni, Piotrowi Głowackiemu czy Joachimowi Lamży. Każde z nich bawi się swoją postacią, dając widzom powody do satysfakcji. Do tego dochodzi wysmakowana warstwa plastyczna, czemu nie przeszkadza mocno podkreślone tempo – ale nie tak, by nie dostrzec różnych filmowych smaczków – oraz muzyka skomponowana przez polskiego laureata Oscara Jana A.P. Kaczmarska. Powinowactwo z kinem Quentina Tarantino widoczne jest od pierwszych kadrów – i nie jest to przypadek. Dla Macieja Bochniaka – samouka w filmowym fachu – artystyczna droga amerykańskiego mistrza zawsze była wzorem i inspiracją.

Jak wiadomo, Tarantino bazuje na amerykańskich wzorcach i mitach, by poddawać je dekonstrukcji i budować na nowo. Zapytany o to reżyser „Magnezji” odpowiada:

– Należę do pokolenia, które odczuwa brak mitów, a sądzę, że są one potrzebne wszystkim. Bez nich nie sposób osadzić się w naszej współczesności. Dlatego z taką nostalgią patrzymy na okres przedwojenny, stąd taka popularność książek Szczepana Twardocha, który rozbudził w nas poczucie dumy i ekscytacji, że nasza przeszłość nie musi ograniczać się do PRL-u, że była zupełnie inna. Podobnie Ziemowit Szczerek w „Chamie z kulą w głowie”, gdzie II Rzeczpospolita wygrywa wojnę, więc współczesną Polską nadal rządził piłsudzczy.

Jak widać, nie tylko ja mam taką potrzebę. Mam wrażenie, że dużo osób z mojego pokolenia, nie tylko twórców, poszukuje jakiejś mitologii. ■



Kadr z filmu „Magnezja”

Słodki smak Złotej Maliny

KONRAD J. ZARĘBSKI

Pod koniec kwietnia 2021 roku w polskim światku filmowym zawrzało. Oto film „365 dni” Barbary Białowąs i Tomasza Mandesa według powieści Blanki Lipińskiej – wzorowany na „50 twarzach Greya” walentynkowy przebój ubiegłego roku – został zgłoszony do Złotych Malin (antyOscarów) w aż sześciu kategoriach, by ostatecznie otrzymać tę nagrodę za najgorszy scenariusz. Obciach? Niekoniecznie.

Otóż, po pierwsze, Złote Maliny są nagrodą antysystemową (choć po 40 latach przyznawania ta wymowa znacznie osłabła) i zdarzało się niejednokrotnie, że nagrody wędrowały do filmów i aktorów ubiegających się o Oscary. Po drugie, niemal zawsze nagradzane są filmy, które zyskały rozgłos i popularność. Skoro więc „365 dni” znalazło się na orbicie uwagi gremium przyznającego Maliny, oznacza to, że za filmem stoi autentyczny sukces. Dodajmy od razu, że mierzony dość wymiernymi kwotami: przez długi czas film Białowąs i Mandesa był na I miejscu światowej listy przebojów platformy streamingowej Netflix. Oznacza to, że widzowie z niemal 150 krajów (poza wyjątkami, gdzie „365 dni” nie mogło zostać pokazane z przyczyn cenzuralnych) zainteresowali się polskim filmem. Jeśli dodamy do tego ogół uwarunkowań, które obecnie decydują o odbiorze kina na całym świecie, jest to sytuacja co najmniej niezwykła i godna pozazdroszczenia. Przed Barbarą Białowąs, autorką raptem dwóch fabuł i kilku krótkich metraży, otworzyły się drzwi do Hollywood.

Pozostaje postawić pytanie, czemu polska reżyserka tak awansowała w zawodowej hierarchii. Odpowiedź jest krótka: sprawiła to pandemia. Producenci „365 dni”, liczący ze względu na skanalizującą naturę powieści Blanki Lipińskiej na spore zyski, przestraszyli



Kadr z filmu „365 dni”

się, gdy władze ogłosiły lockdown i zamknęły kina. Wprawdzie ponad 1,6 mln widzów od chwili premiery to wynik imponujący jak na polskie warunki, ale mocno poniżej oczekiwań. Stąd decyzja, by film odstąpić Netflixowi – może i podyktowana desperacją, ale jakże – w rezultacie – słuszną! Wprawdzie budząca kontrowersje ekranizacja prozy Lipińskiej doczekała się nawet (krajowej) petycji, by wycofać film z platformy, ale szefowie Netflixu zadecydowali, że w czasach, kiedy publiczność nie może głosować nogami (bo kina były zamknięte), trzeba dać jej szansę na głosowanie komputerową myszką (bądź – w przypadku smartfonów – wręcz palcami). Słuszność tej decyzji znalazła potwierdzenie rok później.

„365 dni” to nie jedyny polski wkład w ofertę Netflixu. Należy przypomnieć choćby dystopijny serial „1983” Agnieszki Holland i trzech innych reżyserek: opowieść o Warszawie, gdzie potężny atak terrorystyczny zastąpił stan wojenny, ale to, co już wtedy było nieuchronne – upadek reżimu, dokonuje się 20 lat później. Również dystopijny

nastój niesie feministyczny film „Erotica 2022” – ekranizacja pięciu fragmentów kobiecej prozy dokonana przez pięć ciekawych reżyserek. Warto do tego dodać kilka tytułów kinowych, uratowanych przed pandemią przez platformę streamingową, jak choćby udany (w Polsce to ewenement!) horror „W lesie dziś nie zaśnie nikt” Bartosza W. Kowalskiego czy sensacyjna „Sala samobójców. Hejter” Jana Komasy. Bez zapowiedzi kinowych, prosto do Netflixu trafiły takie filmy jak „Wszyscy moi przyjaciele nie żyją” Jana Belclia – uwodząca dynamiką komedia grozy – czy sensacyjny „Prime Time” Jakuba Piątka, która miał swoją premierę na sławnym Festiwalu Sundance. A nie byłby to obraz zupełny bez animowanego serialu „Kajko i Kokosz” według kultowego komiksu Janusza Christy.

Netflix wierzy w potencjał polskiego kina, czego przykładem najnowsza produkcja polskiego oddziału platformy. Komediowy serial Pawła Domalewskiego (twórcy cenionej „Cichej nocy”) i Kaliny Alabrudzińskiej nosi tytuł „Sexify”, opowiada o trzech studentkach, które szukają klucza do dorosłego życia, a w zasadzie dwóch – do życia zawodowego (dziewczęta łączą siły w opracowaniu internetowej aplikacji ułatwiającej osiągnięcie satysfakcji w seksie), jak i do życia osobistego (uświadomienie sobie własnej kobiecości i jej zaspokajania). Akcja toczy się dwutorowo – na poziomie karykatury poznajemy meandry polskiego biznesu, ale temat seksualności podejmowany jest całkiem serio, a nawet delikatnie i czule. Efekt? Tuż po premierze „Sexify”, bliskie głośniejszej produkcji Netflixu „Sex Education”, ale mocno zdystansowane od „365 dni”, znalazło się wśród światowych przebojów Netflixu. Wygląda na to, że młode polskie kino (twórcy „Sexify” nie mają jeszcze czterdziestki) świetnie odnajduje się w świecie współczesnego kina, nawiązując do tradycji wielkich poprzedników. ■



Kadr z filmu „Kajko i Kokosz”

Najciekawsze są kulisy!



JACEK KAŁUCKI

Uległem namowom moich Przyjaciół, Znajomych... i postanowiłem spisać różne zdarzenia, które przytrafiły mi się zarówno w teatrze jak i filmie – a było tego sporo! Z reguły są to zabawne historie, które często w trakcie wydarzenia wcale śmiesznymi nie były. Dopiero po pewnym czasie opowiadane jako anegdoty, powodują u słuchaczy śmiech i niedowierzanie. Te różne dowcipy, które OD ZAWSZE robili sobie aktorzy, są nierozdzielną częścią teatru oraz doświadczenia zawodowego, nieprzekazywalną w żaden inny sposób, jak tylko w formie opowieści lub odręcznego zapisu. Ponieważ często są przypisywane innej osobie lub przeinaczone, postanowiłem zebrać tylko te, w których sam uczestniczyłem, gdyż wiem, jak było naprawdę. Oto niepublikowany nigdzie dotąd, jeden z rozdziałów specjalnie dla moich przemyśłych Polonusów „Sceny Polskiej”:

Czasami tak bywa, że dziwne zdarzenia, pomyłki, złośliwość przedmiotów martwych... są sprawcami najlepszych „numerów” teatralnych. Nie trzeba było ich przygotowywać – powstawały same.

Kiedy pracowałem w Teatrze Nowym w Warszawie, graliśmy na przemian współczesną sztukę „Opresje” Henryka Bardijewskiego i „Horsztyńskiego” Juliusza Słowackiego – w jednym dniu jedno przedstawienie, w drugim, drugie, raz to, raz to... można było dostać kręćka! W tym pierwszym występowaliśmy w garniturach, swetrach itp., a w drugim wiadomo: sukmany, surduty, peleryny, buty z cholewami... Pewnego dnia wszyscy przyszliśmy wcześniej do teatru, gdyż o 17.00 był mecz międzypaństwowy z udziałem naszych Orłów. Poszliśmy założyć kostiumy i zasiedliśmy przed telewizorem. Obliczyliśmy, że jeśli nie będzie dogrywki, spotkanie powinno się zakończyć przed rozpoczęciem spektaklu. Jedynym aktorem, który przyszedł później do teatru był Emil Karewicz. Spytał

o wynik i udał się na górę do garderoby. Po pewnym czasie zszedł w kontuszu, przepasany pasem słuckim, u boku miał karabellę, na głowie czapę z bażancim piórem... klasyczny polski szlachcic jak z żurnala! Zasiadł obok nas, podparł się szablą, podkręcił wąsa i oglądał mecz. Nastąpiła konsternacja. Wszyscy byliśmy przekonani, że tego dnia gramy „Opresje” i w związku z powyższym mieliśmy na sobie współczesne ciuchy. Jak tu powiedzieć Gwieździe teatru, że się pomylił i ubrał w nie te fatałaszkę? A może to my się mylimy, albo on robi z nas wała – w teatrze wszystko jest możliwe. Tym bardziej, że z Karewicza był niezły żartowniś. Wiadomo, że ten kto pójdzie sprawdzić będzie „balonem”. Padło na mnie, jako na najmłodszego w zespole. Podszedłem do grafiku wiszącego na tablicy ogłoszeń i sprawdziłem: Stało jak byk – data dzisiejsza i „Opresje”! Kto ma to teraz powiedzieć panu Karewiczowi – na pewno nie ja! A tu na dodatek inspicjent przez interkom komunikuje, że za 15 minut zaczynamy spektakl. Na szczęście siedział z nami jeden z najcudowniejszych ludzi, jakich poznałem, rewelacyjny aktor, nestor naszego teatru, wspaniały Józef Pieracki. Dałem mu na migi znak, że jego przyjaciel pomylił kostiumy. Wtedy kochany Józio... płacząc

ze śmiechu (tak miał zawsze) ciepłym głosem zapytał:

– Emilku łaskawco, wybierasz się na bal przebierańców?!

– A tobie starcze, tylko... balety w głowie!

– Nie kochanieńki, tylko pytam. Bo jakbyś nie wiedział, to dzisiaj gramy „Opresje”!

Udawaliśmy, że tego nie słyszemy i wzrok wlepiliśmy w telewizor. Wiedzieliśmy bowiem, że Karewicz do robienia kawałów był pierwszy, natomiast sam nie lubił być obiektem drwiny. Popatrzył badawczo na wszystkich i bez słowa pobiegł do garderoby.

Spektakl zaczęliśmy punktualnie, bo na szczęście pan Emil wchodził na scenę w połowie aktu. Zastanawialiśmy się później, co by się stało gdyby nie było meczu, a Karewicz poproszony na scenę, wszedłby na nią prosto z garderoby?

W trakcie owych „Opresji”, znaleźliśmy się kiedyś... w prawdziwej opresji! Reżyser spektaklu Wojciech Zejdler wymyślił sobie, że do tego przedstawienia niezbędna będzie obrotowa scena, której u nas w teatrze nie było. W związku z powyższym dyrektorka postanowiła zakupić taką od Teatru Narodowego. Nie wiem czy bardziej myśły ją kupili, czy Narodowy się jej pozbył, bo pamię-



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

tała pierwszą realizację „Wesela” w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, gdzie Pannę Młodą grała Zofia Kucówna. Przez wzgląd na panią Zofię nie wspomnę daty. Obrotówka musiała być obsługiwana przez minimum(!) sześciu chłopów, dzięki dwóm korbom, które uruchamiały liny na bloczkach zainstalowanych pod sceną. Jakby nie daj Boże lina zleciała z kółka – to koniec! Trzeba było wszystko demontować, aby dostać się do mechanizmu. Trochę to skomplikowane w opisie, ale w realu było proste jak konstrukcja cepa.

I tutaj mała dygresja; nigdy nie zapomniałem jak w moim rodzinnym Kaliszu, jako nastoletni chłopak poszedłem z mamą do teatru. W ramach Spotkań Teatralnych przyjechał warszawski Teatr Powszechny z „Weselem” Wyspiańskiego w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Pamiętam, że największe wrażenie zrobiły na mnie dwie rzeczy; scenografia Adama Kiliana i... ukłony! Po zakończeniu spektaklu na scenę wszedł reżyser w towarzystwie ośmiu dobrze zbudowanych mężczyzn ubranych w robocze kombinezony(?). Widownia osłupiała. Wtedy pan Adam poprosił o specjalne brawa dla tych panów zdradzając, że to oni kręcili sceną obrotową, która była podstawowym elementem całej inscenizacji. Dopiero później weszli na scenę aktorzy i w nieskończoność – jak to zawsze bywało u Hanuszkiewicza, kłaniali się owacyjnie reagującej publiczności. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że ta „obrotowa myśl techniczna” będzie kiedyś wozic i mnie!

Główny bohater „Opresji” – Artysta Malarz grany przez Józefa Pierackiego, za pomocą swoich nadprzyrodzonych zdolności unieruchamiał kolejnych bohaterów dramatu. Wtedy, na znak inspicjenta obrotówka ruszała i postać była wywożona w głąb sceny, a tam podmieniana z manekinem. Był to również znakomity efekt. Aktor niczym figurka w ruchomej szopce, objeżdżał całą scenę prezentując się w pełnej krasie. Pewnego dnia zamiast sześciu maszynistów do teatru przyszło czterech i to nie w pełni dysponowanych. Arkadiusz Bazak – bo o nim będzie mowa, grający tradycyjnie czarny charakter, zamachnął się na Mistrza, ten zrobił ruch i Arek... skamieniał. Inspicjent dał znak, a techniczni na zasadzie heeej siup(!), próbowali uruchomić „maszynię”. Bazak stał w miejscu i co chwila tracił równowagę powodowaną szarpnięciami obrotówki, która tego dnia miała „słabą moc”. Za czwartym razem... panowie szczęśliwi kręcili korbami, lecz ruchoma scena nawet nie drgnęła. Lina z kółeczek spadła i mówiąc kolokwialnie – była kicha!

Co robić? Najprościej byłoby Arkowi zejść. Ale on nie dawał za wygraną. Jako posąg w dziwacznej pozie, zaczął dreptać



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

wokół sceny udając, że niby nic się nie stało i że jedzie na ruchomej platformie – Chryste Panie!!! Biedny Józio Pieracki schował się za sztalugą i płacząc konał ze śmiechu. Anka Skowroń, grająca jego Asystentkę, parszkając uciekła w kulisy. Ja z dwoma kolegami kreużąc Zamachowców, zgotowani zniknęliśmy za horyzontem. Tylko Arek Bazak sam na pustej scenie dreptał, dreptał, dreptał... aż w końcu się dodreptał i został zastąpiony manekinem. Jak myśmy dalej kontynuowali ten spektakl, tego nie wiem?! Kolejni „skamieniali bohaterowie” po prostu schodzili ze sceny, wstawiając na swoje miejsce przygotowaną kukłę. Tym samym akt był krótszy o co najmniej kilkanaście minut. Antrakty z kolei był wydłużony, gdyż po pierwsze trzeba było rozebrać scenę, aby założyć ponownie linę na bloczki, a po drugie, nikt nie mógł dojść do siebie. Co chwila w garderobach, bufecie czy na korytarzu, słychać było salwy śmiechu! Wkurzony był jedynie Bazak, bo to on głównie został wystawiony na strzał.

I taką to mieliśmy opresję w „Opresjach”!

Na bazie odwilży „solidarnościowej” graliśmy sztukę pt. „A deszcz wciąż pada”. Napisał ją znany, opozycyjny reporter Józef Kuśmierek. Przedstawiał w niej zakład pracy – konkretnie elektrownię, obnażając wypaczenia okresu socjalizmu. Najkrócej mówiąc pokazywał jedną wielką prowizorkę; agregaty „siadały”, brak było zasilania, a partia cisnęła, że ma być wszechobecny sukces i euforia! A jeszcze żeby tego było

mało... deszcz wciąż padał, co utrudniało usunięcie poważnej awarii.

Siedzimy w bufecie popijając herbatkę w oczekiwaniu, aż będziemy proszeni na scenę, aż tu nagle...! W interkomie słyszymy zamiast zaproszenia nieprawdopodobny huk! Jakieś uderzenie spowodowało, że nawet teatr się lekko zatrzęsł – nic, tylko trzęsienie ziemi. Jeden przez drugiego pobiegliśmy w kulisy, aby zobaczyć co się stało? Huk był wciąż gigantyczny. Stanęliśmy nie wierząc własnym oczom. Ściana wody lała się z sufitu. Okazało się, że rozszczelniał się zawór kurtyny wodnej i ta niczym wodospad Niagara, spadała na scenę i zaczęła spływać w pierwsze rzędy. Najzabawniejsi byli widzowie, którzy myśleli, że to zabieg reżyserski i z uśmiechem śledzili rozwój wypadków. Niektórzy z tyłu zaczęli nawet bić brawo! Cóż się dziwić – przecież „deszcz wciąż pada”, o czym stale przekonywali bohaterowie sztuki. Dopiero kiedy siedzący z przodu zaczęli uciekać przed zalewającą ich wodą, a inspicjent wyszedł i przerwał przedstawienie, wszyscy połapali się, że to jakaś nieprawdopodobna awaria.

Po pół godzinie wznowiliśmy spektakl. Nasze teatralne zawory i całe wyposażenie techniczne nadawały się do wymiany, podobnie jak wszystko w naszym kraju, co świetnie opisywał Józef Kuśmierek nie tylko w sztuce, którą prezentowaliśmy w 1981 roku w Teatrze Nowym. ■

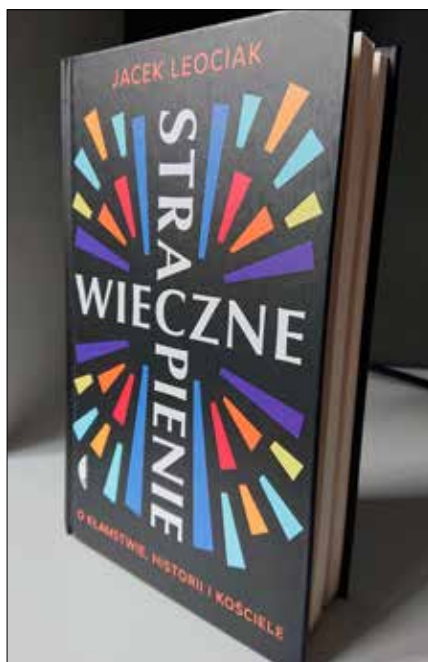
Z cyklu „Lektura (nad)obowiązkowa”

Kościół nasz(?) powszechny



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Przeczytałem „Wieczne strapienie” Jacka Leociaka*. Niesamowita to lektura. W bezwzględny, czasami ironiczny, czasami pełen sarkazmu, innym razem śmiertelnie poważny sposób punktuje autor grzechy Kościoła katolickiego, szczególnie tego naszego, polskiego, ale przecież nie tylko; Kościół Katolicki jako Instytucję, jako bezduszny Urząd, służący w zasadzie niemal wyłącznie jego funkcjonariuszom. Albo może inaczej – tym funkcjonariuszom niezbędny. Ale przecież sprawili oni przez te dwa tysiące lat, że Urząd stał się również „niezbędny” dla ponad miliarda ludzi na świecie. Wmówiono im, że bez niego i poza nim nie ma „zbawienia”, że nie doświadczą łaski wiecznej szczęśliwości, jeśli się spod wpływu Instytucji jakoś wydostaną. Autor komentuje zalecenia naszych czołowych biskupów (Jędraszewskiego, Głódzia, Gądeckiego, Polaka – tego uważanego powszechnie za innego, lepszego, bardziej otwartego od pozostałych – a także – oczywiście – biznesmena – tak zwanego Ojca Dyrektora Tadeusza Rydzyka), wytyczne, jak ludzie powinni żyć, jak mają postrzegać świat wokół siebie, jaki mają mieć stosunek do bliźnich. Tych choćby spod znaku LGBT+, którzy to bliźni stworzyli „ideologię gorszą od komunizmu i faszyzmu”. Tych bliźnich, którzy hołdują „cywilizacji śmierci”, czyli zgadzają się na aborcję czy eutanazję. Wreszcie tych uważających, że kobieta ma takie same prawa, jak mężczyzna. Do nich zwraca się „duszpasterz” starając się naprowadzić ich na jedyną drogę prawdy, drogę, po której on sam ponoć stąpa. Bo tylko przez niego przemawia sam Bóg, ten, który każe kobiecie być podporządkowaną mężczyźnie, „zboceńców” nie akceptuje, ludziom spoza Kościoła szczęścia wiecznego nie jest w stanie zapewnić. Oni – ci nasi duchowi przewodnicy w sutannach – wiedzą najlepiej, jak powinien postępować „porządny” człowiek, co znaczy życie



w rodzinie, we wspólnocie, w związku małżeńskim wypełnionym miłością wzajemną i oddaniem (oczywiście oddaniem kobiety, zarówno małżonkowi jak i dzieciom i domowi, bo taka jest wszak rola kobiety, nadana jej już na samym początku przez dobrego Pana Boga). Wiele razy podczas tej lektury się śmiałem, ale chyba częściej byłem najwyuczajniej przerażony albo po prostu wściekły. Bo nie chodzi o to, że ta książka to źródło jakiejś tajemnej wiedzy. Jednakże sposób jej podania, nagromadzenie faktów, przytoczenie wystąpień „książy Kościoła” – jak nazywa się biskupów – ich skrajnego konserwatyzmu, braku empatii dla drugiego człowieka, „zwyczajnej” ignorancji w najprostszych sprawach życiowych czy historii, zapiekłości w zwalczaniu inaczej myślących, przekonaniu o własnej nieomyślności, ich wreszcie przerażającej mnie pewności o mówieniu „głosem Boga” – jest szokujący. Jakżesz daliśmy się zrobić jako ludzkość w uważanie za świętą prawdę majaczenia kilku szaleńców (a może cyników?), którzy w sposób bezwzględny wykorzystali – i wciąż wykorzystują – naszą naiwność, naszą łatwowierność, naszą wrodzoną potrzebę wiary w nadprzyrodzone, w jakiegoś boga, jakiś głębszy sens naszej egzystencji na tym „leż padole”.

Dla zobrazowania, fragmentek wywiadu, jakiego arcybiskup Gądecki udzielił w 2014 roku „Naszemu Dziennikowi”:

„Obecnie groźnym wyzwaniem jest – lansowana pod płaszczykiem programu równo-

ściowego – ideologia genderyzmu. Niektórym rodzicom podoba się uczenie chłopców, że winni po sobie sprzątać, a nie czekać, aż zrobią to za nich dziewczynki. Pociągające jest również hasło, że wszyscy ludzie są sobie równi i mają prawo do szczęścia. Lecz równocześnie często rodzice nie uświadamiają sobie tego, że w imię przewyższania stereotypów uwarunkowanych kulturowo ukazują się przy okazji różne modele partnerskie jednopłciowe jako równoważne rodzinie.”

To jest autentyczna, cytowana myśl Arcybiskupa! Niczego tu nie zmyślono ani nie dodano. Tak uważa w XXI wieku jeden z czołowych „duchowych przywódców” katolickiej Polski, utytułowany naukowo arcybiskup Gądecki. Zgroza, po prostu zgroza człowieka ogarnia. Z kolei bardzo często ostatnio wypowiadający się publicznie arcybiskup ksiądz profesor dr. hab. (sic!) Marek Jędraszewski, głoszący, że Polska już od Mieszka I była i na zawsze jest jednoznaczna z Kościołem, popisał się niezwykłą wiedzą historyczną, mającą podeprzeć jego twierdzenie. Otóż, argumentując w obronie jednego słusznego modelu rodziny powołuje się ksiądz profesor na dzienniki spowiednika księżniczki Dobrawy (jak wszyscy pamiętamy z lekcji, to właśnie z nią ożeniony Mieszko przyjął chrzest w imieniu wszystkich Polaków), w których to dziennikach przeczytać można, że „Mieszko przed przyjęciem chrztu zmuszony był oddalić siedem żon, które dotychczas posiadał”, przy czym ich imiona zostają wymienione. Arcybiskupowi Markowi raczej nie przyszło do głowy sprawdzenie źródeł, nie zapaliła mu się czerwona lampka na dźwięk nazwiska owego rzekomego spowiednika – Kpinomir. A żeby było już całkiem uroczo, oto przytoczone przez Kpinomira imiona „oddalonych” niewiast: Całusława, Biustyna, Błogomina, Udowita i Pieściwoja oraz dwie bliźniaczki: Rębicha i Pępicha.** Powiedzcie: śmiać się, czy płakać?

Leociak nie sztydzi w żadnym momencie z wiary jako takiej, wiary w wyższą konieczność czy też ludzi wierzących w Boga, nazywając ich katolikami otwartymi. Przeciwnie stawia się natomiast Urzędowi, Instytucji, która tak bezlitośnie i bezwzględnie tę wiarę próbuje wykorzystać do swoich celów, która w imię tej wiary – w imię głoszonej miłości i miłosierdzia – jest w stanie wykonać najbardziej odrażające uczynki,

która – mając usta pełne tego miłosierdzia – czyni jawne i mniej jawne zło, która głosząc potrzebę ubóstwa stała się najbogatszym bodaj Urzędem świata, która hipokryzję ma wypisaną na sztandarach i która ciągle kłamiąc uczy nas o „prawdzie”.

Wiem, nie powinienem się dziwić ludziom, którzy wciąż w KK tkwią, którzy nie chcą czy tylko nie potrafią się z niego wynieść. W końcu ja sam tkwiłem w tym przez większość życia, mimo ogarniających wątpliwości. Czy tłumaczy mnie to, że wtedy to zło „urzędników” Kościoła nie było tak bardzo widoczne, że nie było księdza Jan-kowskiego (choć był i działał, to jednak chyba nie tak ostentacyjnie na początku), Rydyzka, arcybiskupa Jędraszewskiego? Może... Może chciałem wierzyć, że Kościół,

to przede wszystkim ludzie tacy, jak ksiądz Tischner, może chciałem wierzyć, że Jan Paweł II jest oświeconym, nowoczesnym papieżem, który przyniesie światu nowy, odrodzony Kościół Powszechny. Nie wiedziałem, że i dla niego w ostatecznym rozrachunku liczy się wyłącznie Kościół i jego dobro (bardzo jednostronnie pojmowane). Nie można sobie nie zadać pytania: po co człowiekowi – nawet wierzącemu – ta instytucja? Co dobrego mu daje, czym wspomaga jego życie? Nadzieję na zbawienie wieczne? Patrząc na to „dobro”, którego tak wiele objawów – i skutków – widzimy dookoła w wykonaniu nie tylko tych nauczanych przez Kościół, ale przede wszystkim przez ich nauczycieli i zakładając, że wszyscy oni znajdują się kiedyś w towarzystwie Aniołów

przed obliczem Pana, mogę mieć tylko jedną wielką nadzieję: że się nigdy tam z nimi nie spotkam.

A książkę polecam ze szczerego serca; uzmysławia, że czasem warto otworzyć szeroko czy i zobaczyć rzeczywistość, jaką jest, a nie tylko, jaką być powinna czy jaką chcielibyśmy, żeby była.

* Jacek Leociak – „Wieczne strapienie. O kłamstwie, historii i kościele”, Wyd. Czarne, Wołowiec 2020

** zainteresowanych „życiem” i dziennikami Kpinomira odsyłam do artykułu w OKO.press.pl: <https://oko.press/abp-jedraszewski-odkryl-kpinomira-jak-biskup-profesor-nabral-sie-na-primaaaprilisowy-dowcip/>

Idiotyczna oda



JERZY SKOCZYLAS

*Słonko wiosenne świeci, niedźwiedz z letargu się budzi,
dnia po kropelce przybywa, witalność wstępuje w ludzi.
A do owego słoneczka, które wśród chmur się złoci
z ziemi, prócz kwiatków i żuczków, wychodzą na świat idioci.
Kiełkują, rosną, pęcznieją i obsypują listowiem.
Idiota pyta idioty, jak tam kolego zdrowie?
W porządku, a u kolegi? Bo jakby kolega błądy?
Nie śpię kolego po nocach, drzę o utratę posady.
Ależ kolego kochany, spokojnie i bez paniki,
wszak w swoim idiotyzmie masz fantastyczne wyniki,
młodzież od ciebie się uczy, traktuje cię jak idola,
mówią, że trudno na świecie jest o większego głupola.
Dziękuję za dobre słowo, lecz bez fałszywej skromności,
kolega też ma idiotyzm w bezkresnej wręcz obfitości
i jestem pewien, kolego, ba, nawet przysiąc bym gotów,
że można by nim obdzielić ze czterech ciężkich idiotów.
O, jakże taskaw kolega, opinię tę sobie cenię,
wszak z ust pochodzi idioty, którego to zidiocenie
budzi powszechne uznanie, hen, nawet na świata kresach,
mają je ponoć zapisać w księdze rekordów Guinnessa.*

*O tobie też, mój kolego, trąbi pochlebstwa świat cały,
twierdząc, że jesteś niezmiernie, cudownie wręcz zidiociały.
Więc w żadnej mierze koledze utrata pracy nie grozi,
bo nas idiotów się pięści, krzewi, podlewa, nawozi.
Na wiosnę folią okrywa, na zimę siankiem ogaca,
bycie idiotą to zaszczyt, to się po prostu oplaca.
Potężna ilość idiotów nigdy się w świecie nie skurczy,
gdyż zakazano stosować preparat idiotobójczy.
Potężne organizacje idiotów strzegą i bronią,
idioti są pod szczególną i całkowitą ochroną.
Zatem wzrastajmy kolego, nikt z posad nas nie wyleje,
bo bez nas, drogi kolego, współczesny świat nie istnieje.*



Pożegnanie ...

Jak trudno jest pisać o kimś był, albo dopisać śp. Trudno uwierzyć, że ten Ktoś nie odbierze już telefonu, nie napisze maila, nie będzie już w miejscach w których się pojawiał. Ostatni rok, miesiące, a teraz i tygodnie przynoszą wiadomości z którymi musimy się pogodzić, a nie godzimy się...

.....
W tym roku odszedł Alexander van Grieken. O Jego artystycznej pasji pisaliśmy w numerze 1/2019 roku na stronie 16. Kolejna wstrząsająca wiadomość dotarła do nas w czerwcu. Odszedł nagle: Reinier Cornelis Bakhuizen van den Brink. Zmarł w Krakowie 18 czerwca, pożegnaliśmy Go w lipcu w Leiden...

.....
O Reinie nie wystarczy napisać krótkiego wspomnienia. Należy mu się książka. Zналиśmy się prywatnie i przez działalność społeczną od początku mojego pobytu w Holandii. Rein był redaktorem naczelnym Biuletynu PNKV. Był zaprzyjaźniony z Lisettą Stembor redagując z nią „Kartki”. Założył pierwszą chyba dwujęzyczną stronę internetową poświęconą wydarzeniom polskim w Holandii. Bywali z Ewą na wszystkich imprezach Sceny Polskiej. W 1997 roku podczas Dni Kultury Polskiej w Delft z okazji 5-lecia Pools Podium był naszym oficjalnym tłumaczem. Przez wiele lat redagował niderlandzką wkładkę do kwartalnika „Scena Polska”. Wszystko robił dla nas nieodpłatnie, a jeszcze rodzina Bakhuizen van den Brink przesyłała corocznie dota



Rein Bakhuizen van den Brink

cje starając się pomóc tam gdzie widzieli sens tej pomocy. Był zawsze obecny tam gdzie biło serce Polski. Wiem, że działał też na rzecz współpracy miast Leiden-Toruń. Kraków był Jego drugim domem.

Rein, co teraz? Nie usłyszę w telefonie Twojego spokojnego głosu: „Met Rein...” i westchnienia, które tak mnie zawsze wzruszało. Twój spokój, opanowanie i uczynność. Takim Ciebie zapamiętam.

Skromnego Człowieka którego zasługi nie docenione przyznanymi orderami zostaną w naszej pamięci na zawsze.

Dziękuję Tobie Przyjacielu za wszystko co dla Sceny Polskiej razem z Ewą robiliście.

W smutku

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
STICHTING POOLS PODIUM
REDAKCJA „SCENA POLSKA”



Nagroda „Wiklinowa Maska” (2012 r.)



Dni Kultury Polskiej w Delft (1997 r.)

Łąki na ulicach mają barwę biało-czerwoną

W Holandii „dywany z kwiatów” zmieniły w czerwcu swoją barwę. Po wiosennych żółtych żonkilach i różnokolorowych tulipanach przyroda zaskoczyła nas swoją przemianą. Za sprawą mądrze planowanego zarządzania zielenią w miastach i przy drogach nie pojawiły się kosiarki do trawy. W miejscach dawnych przyciętych jak na piłkarskiej murawie trawników wyrosły polne kwiaty. Szczególnie czerwone maki, odporne na trudne warunki glebowe, ale świetnie radzące sobie w symbiozie z innymi kwiatami, pięknie eksponują się na tle białych, polnych kwiatów. Polacy, mieszkający w Holandii, którym biel i czerwień kojarzy się z Polską dzielą się pięknymi zdjęciami w mediach społecznościowych.



Również mieszkańcy Utrechtu mają prawo do skojarzeń bieli i czerwieni ze swoim miastem. Miasto, którego patronem jest Święty Marcin, ma bowiem swoją biało-czerwoną flagę, z tym, że kolory łączą się ukośnie. Tak czy inaczej, cieszy trend powrotu do naturalnego rozwoju przyrody. Odebrane przez człowieka, zabetonowane, sztucznie kultywowane obszary miejskie powoli oddają przyrodzie część tego co potrzebne owadom i motylom. Piękno wraca, wraca życie.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Z polonijnego archiwum

Panorama Polonii Holandia – miesięcznik „Pol Echo” nr 3/1992



BREDA PRZYGOTOWUJE SIĘ DO OBCHODÓW 100-LECIA URODZIN GENERALA MACZKA I 50-LECIA I-SZEJ DYWIZJI PANCERNEJ

Trwają przygotowania do mających się odbyć w Bredzie 3-go maja uroczystości rocznicowych 50-lecia I-szej Dywizji Pancernej i 100-lecia urodzin generała Maczka. Jednym z ciekawszych akcentów ma być przygotowywana przy współudziale Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej sesja historyczna - "Narodziny, szlak bojowy i miejsce I-szej Dywizji Pancernej w historii II wojny światowej". Do udziału w Sesji zaproszeni zostaną kombatanci i przedstawiciele miast wyzwolonych przez Dywizję. Zorganizowana zostanie także okolicznościowa wystawa najcenniejszych eksponatów z Muzeum Gen. Maczka. Nad całością przygotowań czuwa Adrian Stopa i Stowarzyszenie Kulturalne "Polonia".

W. SMOLAREK Z POMOCĄ NIEPEŁNOSPRAWNYM.

Władze klubu sportowego FC Utrecht oraz fundacja Inter Mondial podjęły inicjatywę ufundowania dla dzieci ze szpitala w Ostrowcu mikrobusu do przewozu osób niepełnosprawnych. W dniu 11 lutego, podczas meczu piłki nożnej pierwszoligowych zespołów FC Utrecht - Sparta Rotterdam, popularny polski piłkarz Włodzimierz Smolarek, zainicjował zbiórkę pieniędzy na zakup mikrobusu. Zbiórkę przed meczem prowadzili też piłkarze holenderscy i inwalidzi ze związku "Vrienden van FC Utrecht". Mecz i spotkanie władz miasta, przedstawiciele Ambasady RP i sportowców przebiegały pod hasłem pomocy dzieciom niepełnosprawnym w Polsce.

POLSKIE AKCENTY W TEATRZE.

- Dzięki pani Joannie Bilskiej, polskiej reżyser od lat mieszkającej w Holandii, widzowie obejrzyć mogą przygotowaną przez nią komedię Gabrieli Zapolskiej "Skiz". Sztuka grana jest przez aktorów z Haariems Toneel i zaytułowana jest "De Troefkaart". Muzykę do przedstawienia skomponował Polak, pan Stanisław Radwan. Pani reżyser Bilska przygotowuje już następną polską premierę. Będzie to "Pułapka" Różewicza.

- Zdzisław Wardejn - popularny polski aktor znany jest Holendrom przede wszystkim jako reżyser i wychowawca aktorów. Tym razem, przygotowuje on znanego holenderskiego aktora Sjoert Plesiera do zagrania według swojej adaptacji "Turks fruit" Jana Wolkersa. Książka ta przetłumaczona jest na język polski pod tytułem "Rachat-łukum". O pobycie Zdzisława Wardejna w Amsterdamie i jego związkach z Holandią przeczytać będzie można w

POLSKIE KSIĄŻKI CZEKAJĄ NA CZYTELNIKÓW.

W Delft zakończono prace przygotowawcze do udostępnienia polskich książek czytelnikom. Miejska Biblioteka Publiczna zaprasza do liczącego 250 tytułów polskiego księgozbioru. Jest to jak na razie pierwsza tego typu kolekcja w bibliotece publicznej w Holandii. Ofiarodawcą była polska firma "Polexim". Pozostałe 1.250 książek przekazanych zostanie Stowarzyszeniu Kulturalnemu "Polonia" w Bredzie, społeczności polskiej w Assen, a spora część trafi do Biblioteki Centralnej w Almere. Tam właśnie gromadzi się książki w "rzadkich" językach, które na zamówienie lokalnych bibliotek mogą zostać wypożyczone w każdym miejscu w Holandii. Organizacje polonijne i indywidualne osoby mogą poprzez miejscowe biblioteki publiczne skorzystać z liczącego prawie 1.000 pozycji polskiego księgozbioru w Landelijke Bibliotheekcentrale - LBC w Almere. A może wzorem Delft większe skupiska polonijne w Holandii zorganizują w miejscowych bibliotekach stałe księgozbiory polskich książek? Informacji w powyższej sprawie udziela pan R. Warmolts, Openbare Bibliotheek, Kruisstraat 71, 2611 ML Delft, tel. 015-123450. Panu Warmolts pomaga społecznie kilka Polek z Delft. W grupie tej jest wieloletnia pracownica Biblioteki Uniwersyteckiej, Lena Kirpan.

WYSTAWA POLSKICH ARTYSTEK

. W Hadze 19 stycznia w Galerii "Edison" na Javastraat 16 odbyło się uroczyste otwarcie ciekawej wystawy malarstwa i rzeźby. Dwie Polki i Holenderka zaprezentowały w niekonwencjonalny sposób swoje prace. Mariola Diduch-Dąbkowska pokazała obrazy olejne, collage i gwasze, w których dążąc do syntezy postrzeganej rzeczywistości rozбивa formy, tworząc swoistą rzeczywistość świata abstrakcji. Grażyna Wychowańska pokazała swoje rysunki i obrazy olejne - abstrakcje o silnej ekspresji linii i formy o filozoficznych podtekstach. Carla Janssen, rzeźbiarka, wystawiła swoje bardzo interesujące kompozycje form rzeźbiarskich, w których głównym tworzywem jest szlachetny marmur. Podczas wernisżu wystąpiła młoda skrzypaczka Beata Wasylkiewicz. Obecny był również Ambasador RP, Franciszek Morawski.

Opr. Zofia Schrotten-Czerniejewicz



M. Diduch-Dąbkowska, C. Janssen i G. Wychowańska

Po premierze filmu „Samen.pl”

Z przyjemnością, po długiej przerwie, zaproszona przez Monikę Stępień, wybrałam się z przyjaciółmi 13 czerwca do kina w Tilburgu, na pokaz prasowy jej filmu „Samen.pl”. Wieloletnia współpraca Sceny Polskiej z kinem Euroscop (obecnie Pathe) i przyjazne nastawienie menadżera kina Rob de Brabander do Polski, umożliwiły w ekspresowym tempie zorganizowanie w tym miejscu, tuż po otwarciu kin, sympatycznego wieczoru filmowego.

I chociaż po pokazie krótkiego, ale zręcznie i dowcipnie zrobionego filmu na scenie pojawiła się liczna grupa wykonawców i realizatorów, to z pewnością gwiazdą wieczoru była Monika. Pomysłodawczyni, autorka scenariusza, reżyserka i producentka przyznała, że film został stworzony w ciągu dwóch miesięcy, a stało się to możliwe, dzięki wspaniałej ekipie, która pracowała z zapalem i w przyjacielskiej atmosferze. Wielkie uznanie należy się operatorowi i montażyście Edmundowi Piunowi. Wspaniałe ujęcia operatorskie i pokazanie Holandii z lotu ptaka (czyli drona) zupełnie mnie oczarowały. Prawdopodobnie miały być uzupełnieniem scen granicznych przez aktorów, ale dla mnie były jakby odrębnym, samodzielnym filmem, odrywającym mnie od treści opowiadanej historii. Ale, jak zapewniają realizatorzy, historia Jadzi będzie miała swój ciąg dalszy. Jak zaznaczyła Monika Stępień, to tylko wstępny pilotaż przed nakręceniem serialu komediowego. Trzymamy kciuki i życzymy całej ekipie powodzenia w realizacji planów!



Premiera filmu – Rob de Brabander i Monika Stępień (z prawej)

Monika Stępień o swoim projekcie:

„Samen.pl” to pilot serialu komediowego, który pokazujemy, aby się przekonać jak bardzo taki projekt potrzebny jest naszym rodakom. Do realizacji zaangażowałam najlepszych ludzi (Anna Morawska i Edmund Piunow) i jestem przekonana, że jakość zarówno merytoryczna jak i techniczna spodoba się widzom. Jeśli

ZSC

okaże się, że to co udało nam się stworzyć spotka się z pozytywnym przyjęciem to natychmiast ruszamy z castingami do serialu. W Samen.pl (samen [sa:mə] adv – razem) bierzemy na celownik różnice kulturowe, których jest bardzo wiele, a przecież nie dzieli nas ocean. Celem nadrzędnym jest jednak próba zrozumienia owych różnic i wyciągnięcie z nich nauki. Przykład: Polacy jako jeden z niewielu narodów europejskich po wejściu do czyjegoś domu natychmiast zdejmują buty. Ma to swoje uzasadnienie, całkiem rozsądne przecież, ale w Europie zachodniej takie zachowanie spotyka się z niemalą konsternacją.

Samen.pl to nie tylko projekt dla emigrantów. Główna bohaterka wyjeżdża do Niderlandów na studia, po których robi karierę w agencji reklamowej, a więc nie jest to typowy cel podróży do Holandii o którym krążą legendy. W serialu twórcy zamierzają zademonstrować nie tylko turystyczne walory tego pięknego kraju ale przede wszystkim pokazać Niderlandy jako miejsce, gdzie czekają ogromne możliwości rozwoju naukowego oraz biznesowego. To historia o międzynarodowych przyjaźniach, tolerancji, ale czasem również bezpodstawnej wzajemnej niechęci. O naszych uprzedzeniach i blokadach, do pokonania których wystarczy czasem tylko jeden uśmiech...”

WIĘCEJ: [HTTP://WWW.SAMEN.PL/](http://www.samen.pl/)



„Niepokój przychodzi o zmierzchu” to książka bardzo holenderska



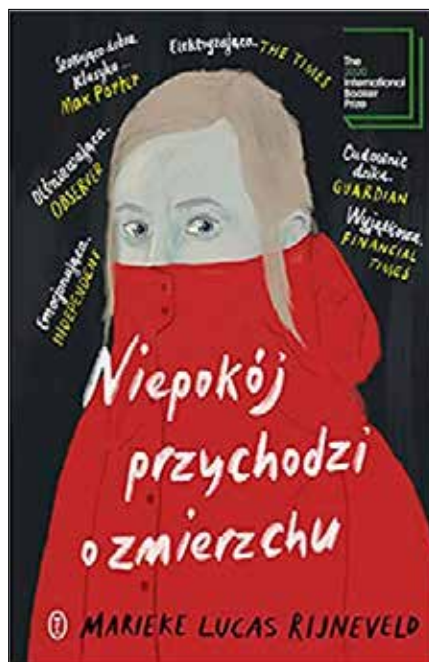
PROF. JERZY KOCH

Nie jest to opowieść o Holandii wielkomijskiej. Nie ma tu uznanych stereotypów, zarówno tych tradycyjnych: wiatraki, ser, tulipany, drewniaki, jak i tych bardziej współczesnych: olbrzymia tolerancja, która ociera się już nawet o pewną obojętność wobec inności i odmienności. Tutaj mamy Holandię wiejską. „Niepokój przychodzi o zmierzchu” ukazał się w 2018 roku w Holandii. Jest to debiut prozatorski, choć autorka miała już wtedy na koncie nagrodzony debiut poetycki. Krytycy słusznie od razu zauważyli, że wiele motywów z tego tomiku jest rozpracowywanych, poszerzanych właśnie w tej książce.

Książka Rijneveld otrzymała w 2020 roku Nagrodę Bookera. – Powieść opisuje zamknięty krąg w zagrodzie. Nieopodal jest wieś, ale w Holandii to praktycznie od razu małe miasteczko. Wszystko jest w pewnym zamkniętym kręgu rodzinnym, ale jest w tym coś uniwersalnego, ponieważ ta rodzina przeżywa dramat, traumę i sobie z nią nie radzi. Dotyczy to

wszystkich, ojca i matki, ale także trójki młodszego rodzeństwa zmarłego syna. Każde z nich nie radzi sobie z tym na swój sposób.

„Olśniewająca”, „wybitna”, „odważna”, „bezkompromisowa” – to tylko niektóre przymiotniki, którymi określana jest przez recenzentów i internautów książka Marieke Lucasa Rijneveld.



„Niepokój przychodzi o zmierzchu” Marieke Lucas Rijneveld (Autor), Jerzy Koch (Tłumacz)
Wydawnictwo Literackie 2021

Brud rzeczywistości, chłód rozpaczy, dzieciństwo pełne wstydu.

Odważna i bezkompromisowa powieść, jakich mało w literaturze światowej.

Mała wioska na holenderskiej prowincji. Tuż przed świętami rodzina skromnych i pobożnych rolników doświadcza wielkiej tragedii – w wypadku ginie najstarszy syn Matthies. Niedługo potem kolejne nieszczęścia nawiedzają farmę, której życie zaczyna przypominać koszmarną wizję z obrazów Boscha. To kara za grzechy? Tak sądzą rodzice. Zatracać się w bólu i poczuciu winy, zaniedbując trójkę dorastających dzieci, które niewiele rozumieją i są przerażone atmosferą panującą w domu. Co to znaczy, że Matthies umarł? Czy ojciec odejdzie? Co stanie się z matką? Budrysówka, Obbe i Hanna na swój sposób radzą sobie z niepokojem. Gromadząc niepotrzebne przedmioty, składając ofiary, zadając ból sobie i innym, łamiąc seksualne tabu, dają się wciągnąć w wir coraz bardziej zatrważających obsesji i fantazji. Na ziemi niczyjej, gdzieś między dzieciństwem a dorosłością, kończy się niewinność.

Czym jest rodzina? Jaki sens ma wiara? W tej powieści o braku miłości i osamotnieniu, ujmującej wrażliwością i surowym, wręcz brutalnym pięknem języka, Marieke Lucas Rijneveld stawia pytania, które podważają nasze najświętsze przekonania.

<https://www.amazon.pl/Niepok%C3%B3j-przychodzi-zmierzchu-Marieke-Rijneveld/dp/8308073778>



Danuta Ławniczak

Harfa życia

*niby harfa niby skrzydło
niby dama niby ptak
lekkopióry który w chmury
ciężkie myśli z wiatrem gna*

*niby idę ale jadę
niby stoję ale siedzę
nogi ręce rąk wciąż więcej
na mej harfie życia gra*

*widzę słyszę czytam piszę
struny szarpie nieporadnie
trzymam w górze myśli w chmurze
ona może mi nie spadnie*

Danuta Ławniczak

Jakby co

*Gdy świat dziś taki szybki
i w podstępne pułapki bogaty
Idź, nie lękaj się
Jakby co - spadniesz
jak kot na cztery łapy
miętko i ładnie
Czekają
Poduchy Maty Kanapy i Spółka
a nawet
Fotele na Kótkach*

To straszne słowo Szczęście



MAREK ORZECOWSKI

12 marca, w środku covidowego chaosu, nadburmistrz Dieter Reiter udzielił w monachijskim ratuszu kolejnego ślubu, skromnego ślubu. Skromnego, ponieważ poza parą oblubieńców, która wymieniła obrączki i pocałunki w pięknej sali ratusza obecnych było tylko dwóch świadków, takie mamy czasy.

Ale kto chciał i był ciekawy, mógł uroczystość śledzić live w internecie, i zainteresowanych nie brakowało. Nie brakowało, ponieważ akurat ten monachijski ślub z pewnością przejdzie do historii, i nie tylko samego Monachium. Słowo „Tak” powiedzieli sobie bowiem po jedenastu latach związku 67-letni były mnich i przeor historycznego klasztoru benedyktynów Andechs w Bawarii i jego młodszy o 27 lat partner. Trochę tak, jakby w Krakowie żenił się były przeor klasztoru na Jasnej Górze. Małżonkowie poznali się przed laty online.

Być może ślub tych dwóch dorosłych mężczyzn, w końcu dziś w Niemczech nic już nadzwyczajnego, nie przebiły się przez doniesienia z frontu walki z wirusem, gdyby nie postać samego przeora, historia jego kapłaństwa, ale i aktualna sytuacja na nieco innym froncie, w niemieckim Kościele - problemy z którymi jest konfrontowany, prowadzone w nim ożywione dyskusje o sposobach wyjścia z głębokiego kryzysu i poszukiwanie drogi, którą powinien dziś i jutro podążać. W 2019 roku z Kościoła katolickiego w Niemczech wstąpiła rekordowa liczba wiernych - 273 tysiące (rok wcześniej 216.000).

Wyzwania przed jakimi stoi nie odbiegają oczywiście od podobnych z jakimi zmagają się i inne narodowe kościelne wspólnoty, ale w Niemczech, z uwagi na wyraziste tendencje niemieckich biskupów, od lat dążących do zmian w instytucji Kościoła (mowa jest o samodzielnej „synodalnej” ścieżce reform, zatem z pominięciem watykańskiej akceptacji), próby ich rozwiązania przybrały w oczach kościelnych tradycjonalistów właściwie formę herezji: według nich niemiecki Kościół oddala się od wspólnoty Ko-

ścioła rzymskiego, scentralizowanego, chce sam definiować swoją rolę i posługę w świecie, w którym ten tradycyjny traci na znaczeniu. Jednym słowem niemieccy biskupi zmierzają w stronę powołania innego, nowego Kościoła.

Jakiego? Tego jeszcze nie wiemy, ale skoro miałby różnić się od rzymskiego, musiałby zatem być pozbawiony dotychczasowych, nazwijmy je, ludzkich ograniczeń. Miałby być wspólnotą, która nie zgłasza atrybutu, że jest lepsza, bardziej święta od swoich członków.

Na pytanie, dlaczego współczesny Kościół traci wiernych i swoją dotychczasową pozycję były przeor, dziś małżonek, odpowiada - ponieważ mija się z rzeczywistością. Ale to zdaje się nie wszystko: z jego wyznań i wypowiedzi wynika, że sytuacja w Kościele a raczej panujące w nim zakłamanie przeczy jego świętości i roli ziemskiego pośrednika ku świętości, a takie było i zdaje się jest jeszcze jego powołanie. Kościół znajduje się w swoistej pułapce: w przestrzeni transcendencji, jako jeszcze jedna, kolejna pozarządowa organizacja, NGO, jest dla poszukujących Nieba mało interesujący i właściwie zbędny, z kolei dla wiernych, oczekujących w nim akceptacji dla swojej formuły miłości i szczęścia jest miejscem nie tyle obcym, co wręcz kłamliwym, przesiąkniętym hipokryzją, i dlatego nie do zaakceptowania. W tym ostatnim przypadku chodzi oczywiście o najbardziej ludzkie sprawy, sprawy ciała i ciała tego naturalne potrzeby.

Wśród problemów, które zajmują niemieckich biskupów, poza doktrynalnymi, istotnymi i decydującymi dla substancji niemieckiego Kościoła (na przykład wspólna z protestantami komunია), znajdują się więc oczywiście i te, które sprawiają dziś największe kłopotów, są bowiem najbliżej codziennego życia kościelnej wspólnoty, zarówno tej świeckiej jak i duchownej, i małżeństwo wieloletniego przeora klasztoru, który dokonał apostazji i właśnie się ożenił, jest tu najlepszym przykładem. Chodzi o celibat, chodzi o homoseksualizm. chodzi o seksualne

nadużycia, wręcz przestępstwa, ale i o równość ludzkich podmiotów w Kościele, i chodzi także o kościelną hipokryzję. Piękną nowinę, która ma nieść, Kościół zaciemnia swoją sprzeczną z duchem czasu postawą, uważa były przeor.

Jaka ona zatem jest ta spreczna z duchem czasu postawa Kościoła? No cóż, ograniczmy się do historii bawarskiego mnicha. Był ministrantem, poświęcił się służbie Bogu, 40 lat temu wyświecał go nie kto inny jak Joseph Ratzinger, późniejszy Benedykt XVI, Kościół był jego domem, ulubioną modlitwą różaniec, został przeorem jednego z najważniejszych niemieckich klasztorów, miejsca pielgrzymek. I któregoś dnia zrozumiał, że jest homoseksualistą, ukrywał to, walczył ze sobą. W 2004 opuścił klasztor, potem poznał Markusa, menadżera, w 2020 ujawnił się, wystąpił z Kościoła, wstąpił do Kościoła Starych Katolików, w którym weźmie ślub kościelny, jak minie corona. Pytaniem, które zabierało mu sen było: co jest ważniejsze, zaprzeczać sobie, swojej seksualności czy żyć w szczęściu? Zdecydował żyć w szczęściu, dlatego wystąpił z Kościoła. Gdyby jego stary Kościół błogosławił takich jak on i związek, w którym żyje, pozostałby mu wierny, to był bowiem jego Kościół.

Ale czy pozostałby księdzem?... I to jest pytanie, o które rozbija się dzisiaj arka Kościoła. W swojej książce, w której nasz pastor Anselm Bilgri wzywa do zniesienia celibatu, źródła załamania, kłopotów, dramatów, podaje, że jedna trzecia duchownych, księży i mnichów, łamie celibat z kobietami, jedna trzecia z mężczyznami, i jedna trzecia próbuje być mu wierna. I wszyscy szukają szczęścia. I w Kościele go nie znajdują.

Jakie wyjście z sytuacji? Pytanie, które rozrywa dziś jedność Kościoła, który boi się tej najbardziej oczywistej odpowiedzi. Anselm Bilgri, były przeor klasztoru, dziś szczęśliwy małżonek, właśnie ją odpowiedział: dopóki Kościół oficjalnie nie uzna, że istnieją tacy jak on. również w Kościele, i nie wyciągnie wniosków, ludzie - świeccy czy duchowni, poszukiwać będą szczęścia poza Kościołem, a nie w nim. I niemiecki Kościół być może jest właśnie już na tej drodze: przewodniczący Konferencji Niemieckich Biskupów biskup Georg Bätzing opowiedział się właśnie za udzielaniem błogosławieństwa homoseksualnym parom, nawet bez oficjalnej zgody Watykanu. Byłby to pierwszy krok do uznania, że homoseksualizm nie jest grzechem, i nie jest nim również w szeregach Kościoła.

Anselm Bilgri błogosławił takie szczęśliwie pary jako przeor już dawno, oczywiście potajemnie. ■



fot. Peter Kneffel, DPA

Aktorskie prowokacje Joanny Staneckiej



JANUSZ WOJNAR

Piosenki Friedricha Holoendra po polsku, a te Agnieszki Osieckiej po niemiecku, choć może w przyszłości i po angielsku? Jak najbardziej!

Przedstawianie polskiej publiczności niemieckiej sztuki kabaretowej w powściągliwym emocjonalnie wydaniu, nasiąkniętej pragmatyczną refleksją, sarkazmem, naturalizmem i bezpardonową rubasznosścią to znak firmowy Joanny Staneckiej. Tłumaczenie niemieckim gościom teatralnym, dlaczego bossanova musi wysypiać się na „płatkach, szmatkach i różyczkach” oraz dlaczego jedna dziewczyna „chciała niemądrych kochać” to gorący projekt na najbliższy czas. Prowokacja. Joanna Stanecka uwielbia delikatnie i z wdziękiem naruszyć uwielbiane przez Niemców struktury i reguły, ukazując piękno, smutek, zagubienie pijanej i nierozsądnej „tańczącej wariatki”. Aktorka wytłumaczy niemieckiej publiczności, że nietrzeźwa poetka może kochać równie nietrzeźwą bossanowę a na dodatek spać z nią nago w łóżku, co skutkuje kontynuacją picia białego dżinu z zielonego stołu. I to jest dla przeciętnego Niemca nie do pomyślenia!

Jednocześnie wyjaśnia polskim kobietom, że to nie do końca jest tak, jak śpiewała Ordonka, że „miłość wszystko wybaczy”. Nie trzeba tak notorycznie trzymać



łokci przy sobie a miłość to piękne i ulotne chwile. Dzieli się refleksją, przekazaną przez Marlenę Dietrich, że to nie ma najmniejszego znaczenia czy mężczyzna jest gruby czy chudy, bogaty, czy biedny, delikatny czy rubaszny. Najważniejszą wartością mężczyzny to jego umiejętności pieszczot i pocałunków. Ot co! I ten fakt z kolei bulwersuje Polaków.

Chansonistka stąpa lekko i bez merytorycznej powagi po nierównym gruncie trudnej, wspólnej polsko-niemieckiej historii. W swojej konferansjerce, która jak fuga pomiędzy kafkami piosenek, zlepia w całość koncert, przeskakuje z jednych niestabilnych tematów politycznych na drugie, prowokując widza do myślenia i społecznej refleksji. Artystka słowem i dźwiękiem tuli czule ludzi, wierząc w ich dobro i potencjał, niezależnie od narodowości. Jest bezlitosna dla propagandy i opętanych nią polityków, niestety, zazwyczaj mężczyzn, którzy doprowadzają do konfliktów, tragedii i wojen.

Kilka dni temu aktorka została uhonorowana w Wiedniu Złotą Sową, nagrodą wręczaną w wiedeńskiej siedzibie Polskiego Instytutu Nauk przez kapitułę Polonii Austriackiej, Klub Inteligencji Polskiej oraz polonijny magazyn Jupiter, za działalność teatralną na rzecz wizerunku Polski i Polonii na świecie.

Jej specjalnością jest budowanie pomostów między narodami na bazie słowa, żartu, piosenki, rymu i rytmu.

Niektóre piosenki Friedricha Holoendra otrzymały współczesne tłumaczenia, którymi zajął się wspaniały polski tekściarz Rafał Bryndał, natomiast subtelnie i z ogromną wrażliwością do tekstów Agnieszki Osieckiej zabrał się Hans Gregor Njemz. Osiecka po niemiecku jest niesamowita!

[HTTPS://YOURACTOR.ART/](https://youractor.art/)



Złota Sowa 2020 w kategorii Teatr – wręczenie, Wiedeń 2021



W 2015 Złotą Sowę w kategorii Teatr otrzymała Scena Polska w Holandii
fot. archiwum

Wierszowisko – „20 lat przez poezji świat...”



Wierszowisko odbyło się w tym roku po raz 20. To największe wydarzenie dla polonijnych uczniów z Holandii organizowane przez Forum Polskich Szkół w Holandii. Konkurs recytatorski odbywa się od 2000 roku i na stałe wpisał się w kalendarz polonijnych imprez w Niderlandach.

Planowane na rok 2020 Wierszowisko zostało odwołane niespełna 2 tygodnie przed wydarzeniem. W 2021 udało się zorganizować konkurs w dostosowanej do obostrzeń formule. Szkoły przeprowadziły etapy szkolne, w czasie których uczestnicy prezentowali wiersze przed szkolną publicznością. Tam gdzie nie było to możliwe – występy odbyły się w domach. Każda recytacja została nagrana i przesłana jurorom.

W XX edycji Wierszowiska uczestniczyło 76 uczestników z 12 szkół członkowskich FPSN. Jak zwykle każdy uczestnik za udział otrzymał medal, dyplom i upominki – w tym roku z jubileuszowym misiem.

Jurorzy (Jerzy Fedorowicz, Marek Michalak, Renata Kowalska, Elżbieta Niemczuk-Weiss, Barbara Wojda, Jolanta Tataara, Małgorzata Smółka, Tomasz Karawajczyk) obejrzeni wszystkie nagrane występy i przyznali punkty. Mimo, że nie był to łatwy wybór – bo wszystkie występy były piękne – jury było wyjątkowo zgodne w sprawie głównych nagród. Finaliści konkursu zostali zaproszeni na finałową Galę, która odbyła się w Tilburgu. Przyznano aż 32 nagrody i wyróżnienia.

Laureaci zaprezentowali raz jeszcze swoje recytacje, tym razem na scenie, przed publicznością. Temat tegorocznego Wierszowiska brzmiał „20 lat przez poezji świat. Wiersze polskich poetów ostatnich 20 lat”, więc teksty recytowanych wierszy były mniej znane publiczności, co sprawiło że słuchało się ich nie tylko z przyjemnością, ale i zainteresowaniem! Jurorzy i goście uroczystie ogłosili wyniki wręczając laureatom jubileuszowe puchary, dyplomy i nagrody.

Z okazji jubileuszu specjalne puchary otrzymali także uczestnicy, którzy w tym roku występowali po raz 5, 6, 7, 8, 9 lub 10. Konkurs przeznaczony jest dla uczniów od 4 roku życia, a wielu z uczniów debiutując w wieku 4 lat, wraca na wierszowiskową scenę co rok, prezentując się coraz śmielej i piękniej na scenie, recytując coraz poważniejsze i dłuższe wiersze.



Zwycięcy



Wielki Finał

fot. Andrzej Truś (x2)

Organizatorzy zadbali także o podziękowania dla rodziców – bo to dzięki rodzicom dzieci uczą się polskiego, chodzą do polskich szkół, uczestniczą w Wierszowisku. Każdy z uczestników finałowej gali, po swoim występie otrzymywał słonecznik, który przekazywał w podziękowaniu rodzicom.

Żółte słoneczniki otrzymali także wolontariusze pomagający przy organizacji wydarzenia. Oprócz gali finałowej w Tilburgu dzieci mogły uczestniczyć w zabawach plastycznych, animacjach, zjeść słodką wate cukrową, a nawet pomalować ogromny drewniany napis WIERSZOWISKO.

Ważnym punktem programu było wręczenie nagród w wierszowiskowym konkursie plastycznym. Wystawa wszystkich nadesłanych na konkurs prac była dostępna dla gości przez cały dzień. Zadaniem dzieci było w tym roku przygotowanie ilustracji do ulubionych wierszy. Galeria zdjęć do obejrzenia także na stronie internetowej organizatora.

Było słodko, wesoło i trochę sentymentalnie jak na jubileusz przystało. Zjedzone

zostały urodzinowe torty, odśpiewane „Sto lat” oraz hymn Wierszowiska. Nie zabrakło odrobiny wspomnień – które wywołały lekkie wzruszenie i duże uśmiechy na twarzach gości, dawnych organizatorów i pomysłodawców Wierszowiska. O pięknej historii ostatnich 20 lat konkursu można przeczytać w jubileuszowej publikacji jaką przygotowali z tej okazji organizatorzy.

Dzieci obiecały, że wrócą za rok – jest więc dla kogo planować Wierszowisko 2022, które odbędzie się 27 marca 2022 roku w teatrze w Wijchen, w Holandii.

Wierszowisko 2021 odbyło się dzięki wsparciu sponsorów – polonijnych firm i organizacji z Holandii. Sponsorami głównymi była Niedziela.nl, Domek.nl, Drozd Afbouw, Graphical Stroke. Patronat nad wydarzeniem objęły instytucje, organizacje i media. Gospodarzem dnia była Polska Szkoła w Tilburgu a organizatorem Forum Polskich Szkół w Holandii, organizacja dachowa zrzeszająca polonijne szkoły z Holandii.

**AGNIESZKA LONSKA, FORUM
POLSKICH SZKÓŁ W HOLANDII**

Prezentujemy polskie zespoły:

Kapela „Zza Winkla” – wielkopolska kapela folkloru miejskiego 41 lat na estradach Polski i Europy

Kapela „Zza Winkla” postawiła sobie jeden zasadniczy cel swojej działalności – prezentowanie gwary i tradycji wielkopolskiej, według zasady: aby nic nie uszczknąć z bogatej schedy odziedziczonej po przodkach dla przekazanie jej następnym pokoleniom, celem wyzwolenia dumy z przynależności do naszej małej Ojczyzny którą jest WIELKOPOLSKA

Barwny – niepowtarzalny folklor miejski – ŚPIEW – HUMOR – ZABAWA!

Kapela „Zza Winkla” powstała w 1980 roku z inicjatywy Bogdana Górniego, którego zamierzeniem było kultywowanie kultury i gwary poznańskiej.

Oprócz własnych kompozycji zespół od 1982 roku współpracuje z Lechem Konońskim, który jest autorem tekstów większości piosenek do muzyki: Andrzeja Borowskiego, Henryka Kuczyńskiego, Piotra Żurowskiego, W latach dziewięćdziesiątych XX wieku nawiązali kontakt z Juliuszem Kublem – autorem tekstów (twórcą Starego Marycha) i Mariuszem Matuszewskim – który komponuje do tekstów p. Juliusza, p. Teresy Tomsy, Grzegorza Tomczaka. Kapela jest w trakcie przygotowań nowej płyty pt. „Brawindy styndy” z tekstami byłego członka kapeli śp. Andrzeja Bobkiewicza i muzyką Józefa Kowalonka (akordeonista kapeli Zza Winkla).

Przez 40 lat działalności zespół dał się poznać w wielu krajach, m. in. w Niemczech,



Bogdan Górny – założyciel „Kapeli zza Winkla”

Francji, Belgii, Słowacji, Grecji, na Litwie, w Czechach i – oczywiście w całej Polsce. Łącznie zagrali ponad 2700 koncertów, wydali 6 płyt, 4 single, 11 teledysków oraz wystąpili gościnnie w kilkudziesięciu programach telewizyjnych i radiowych.

Tytuły wydanych płyt CD:

- „Z babą nie wygrasz”
 - „Zabawa na całego”
 - „Bana do Poznania”
 - „Ćwiartka na głowę, czyli co złego, to nie my!”
 - „Na szagę bez Pyrlandię”
 - „Jasną nutą o Powstaniu Wielopolskim”
- Najnowsze wyróżnienie:**
- Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” – marzec 2021 r.

WWW.ZZAWINKLA.COM



Uroczystość wręczenia nagrody „Gloria Artis”



Zamek Królewski w Poznaniu



WŁODZIMIERZ ŁĘCKI

Od ponad pięciu lat nad poznańskim Starym Miastem dominuje odtworzony na Górze Przemysła Zamek Królewski. Jest to chronologicznie druga siedziba władcy na terenie obecnego Poznania. Pierwotny gród poznański położony był na prawym brzegu Warty, na terenie Ostrowa Tumskiego. Tam powstało palatium księcia Mieszka I (relikty jego odkryte zostały w czasie badań archeologicznych w ostatnich latach), tam też zbudowano w 968 r. pierwszą katedrę na ziemiach polskich.

W 1253 r. książę wielkopolski Przemysław II na lewym brzegu Warty lokował na prawie magdeburskim miasto Poznań. Obszar ówczesnego miasta dziś zwany jest Starym Miastem. Jego centrum stanowi Stary Rynek z pięknym renesansowym ratuszem stojącym w miejscu pierwotnej siedziby władz miejskich z XIII w. W tym też czasie na zachód od Rynku, na wzgórzu zwanym wówczas Górą Zamkową, a dziś Górą Przemysła, powstała pierwsza budowla obronna włączona w system murów otaczających miasto. Jest prawdopodobne, że wcześniejsza budowla powstała tu jeszcze przed połową XIII w. za sprawą księcia śląskiego Henryka Brodatego, który wówczas władał tą częścią Wielkopolski. Układ przestrzenny zamku poznańskiego jest podobny do wcześniejszego wzniesionego zamku Henryka Brodatego w Legnicy. W końcu XIII w. rozbudowany zamek stał się siedzibą koronowanego w 1295 r. w Gnieźnie króla Przemysła II.

Zamek, jeden z pierwszych zamków w Polsce, a pierwszy zamek królewski, wzniesiony był z murów ceglanych w wątku wendyjskim, postawionych na fundamentach kamiennych z głazów narzutowych. Stanowił ważny element w systemie murów obronnych miasta, zabezpieczając je od strony zachodniej, gdzie ze względu na wzgórze niemożliwe było wykonanie fosy. Od strony południowej zamku postawiono wieżę o wymiarach w przekroju poziomym piwnic ok. 11 x 11 m i z murami ceglany grubości 3 m. Później na północ od wieży zbudowano wydłużony budynek, do którego od wschodu przylegał dziedziniec



Zamek po restytucji na pocz. XXI w.

fot. Z. Szmit

otoczony wpierw palisadą drewnianą, a później murem ceglany.

Od XIV w., gdy stolicą kraju został Kraków, zamek poznański stał się siedzibą starostów generalnych i okresowo siedzibą królewską w czasie pobytu władców w Poznaniu. W XVI w. podniszczony zamek został odbudowany i rozbudowany w formach renesansowych. Powstał wówczas duży budynek znany z opisów i ikonografii, trójkondygnacyjny, podpiwniczony. Kryty był czterema poprzecznymi dachami osłoniętymi schodkowymi szczytami.

Większe zniszczenia zamkowi przyniosły „potop szwedzki”, później oblężenie miasta przez wojska rosyjskie i saskie w 1704 r. oraz walki o miasto w 1716 r. Pomimo doraźnych remontów zamek popadał stopniowo w ruinę. Dopiero pod koniec XVIII w. na murach z XIII w. i XIV w. wzniesiono dwukondygnacyjny budynek w formach barokowo – klasycystycznych zwany dziś „budynek Raczynskiego”, a w 1. połowie XIX w. zbudowano jednokondygnacyjną oficynę sięgającą do dawnej wieży.

Budynki te pełniły w XIX w. różne funkcje m.in. siedziby rejencji w początkowych czasach zaboru, sądów i od 1869 r. archiwum. W lutym 1945 r. w toku walk o wyzwolenie Poznania Stare Miasto zniszczone zostało w około 60%. Po wojnie, w latach 50. odbudowano większość budynków m.in. Stary Rynek i jego otoczenie. W latach 60. przy pozostałościach Zamku prowadzono prace archeologiczne i zabezpieczające pozostałe relikty budowli. Odświeżono wówczas m.in. potężne mury dolnej części wieży. W tym czasie odbudowano część Zamku – budynek Raczynskiego, umieszczając w nim Muzeum Rzemiosł Artystycznych noszące

cyjny budynek w formach barokowo – klasycystycznych zwany dziś „budynek Raczynskiego”, a w 1. połowie XIX w. zbudowano jednokondygnacyjną oficynę sięgającą do dawnej wieży.



Galeria wschodnia na pocz. XXI w.

fot. Z. Szmit



Widok z wieży zamkowej na Stare Miasto

fol. Z. Szmit

obecnie nazwę Muzeum Sztuk Użytkowych, oddział Muzeum Narodowego. Przez wiele lat duża część zabudowań zamkowych prowizorycznie zabezpieczona czekała na odbudowę. Zamek królewski do początków XXI w. pozostawał jedynym znaczniejszym zabytkiem nie odbudowanym po zniszczeniach w 1945 r.

Ukryte pod ziemią wczesnogotyckie i gotyckie mury oraz relikty późniejszych budowli dowodzą powikłanych dziejów tego miejsca. Zamek jest też świadectwem stołeczności miasta oraz miejscem, gdzie powstało polskie godło narodowe ustanowione przez koronowanego w 1295 r. króla Przemysła II. Władca ten podjął się dzieła zjednoczenia ziem Polski podzielonych w początkach XII w. przez Bolesława Krzywoustego.

W 2002 r. z inicjatywy 19 organizacji społecznych i związków twórczych Poznania powstał Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego w Poznaniu (KOZK), który podjął się dzieła restytucji budowli. Przed Komitetem stało wiele trudnych zadań do zrealizowania: pozyskanie przychylności władz, zdobycie środków finansowych, przygotowanie odpowiedniego projektu i doprowadzenie do restytucji Zamku.

Zamiar restytucji Zamku zyskał swoich gorących zwolenników jak i przeciwników. Na łamach prasy, w radiu i telewizji rozgorzała gorąca dyskusja. Dyskutowano o celowości odbudowy Zamku oraz jego formie. Zamiar odbudowy poparły (również finansowo) władze województwa wielkopolskiego i władze miasta. Sceptyczny stosunek do budowy obiektu miał właściciel – Muzeum Narodowe.

KOZK przez parę lat prowadził intensywne działania promocyjne i zbiórkę funduszy.

W 2003 r. zorganizowano ogólnopolski konkurs architektoniczny, na który wpłynęły 22 prace. Bardzo różne było oblicze prezentowanych kształtów Zamku: od historycznych po skrajnie nowoczesne. Po długiej dyskusji wybrano projekt architekta Witolda Milewskiego przedstawiający Zamek w formach nawiązujących do zachowanych fragmentów gotyckich i dokumentów z przebudowy dokonanej w XVII w. Koszt budowy oszacowano na 20 mln zł. Samorządy województwa i miasta wyasygnowały po 9 mln. Komitet pozyskał środki finansowe łącznie ze społecznie wykonanymi badaniami technicznymi i ekspertyzami w kwocie prawie 2 mln zł.

W 2010 r. rozpoczęto budowę, którą ukończono w 2014 r. W 2016 r. otwarto dla społeczeństwa wieżę, a rok później cały obiekt – Muzeum Sztuk Użytkowych.

KOZK dążył do zachowania w maksymalnym stopniu wystroju historycznego wnętrza, co udało się tylko częściowo. Czyniono też starania aby muzeum stało się Muzeum Godła Narodowego, o podobnym charakterze jak istniejące w Będominie koło Kościerzyny Muzeum Hymnu Narodowego. Niestety, koncepcja ta nie uzyskała aprobaty Muzeum Narodowego, którego oddziałem jest muzeum na Górze Przemysła.

W pomieszczeniach Zamku zlokalizowano Muzeum Sztuk Użytkowych. Nazwa może niezbyt przyciągająca zwiedzających, ale nowa, znacznie rozszerzona ekspozycja jest bardzo ciekawa, ze wszech miar warta zobaczenia.

W kilkunastu salach, od autentycznych pomieszczeń – lochów piwnicznych z XIII w. do nowych sal 2. piętra – prezentowane jest około 2000 eksponatów sztuki użytko-

wej – czyli różnych wytworów pracy ludzkiej o artystycznym wyrazie przydatnych w życiu codziennym: mebli, tkanin, ubiorów, szkła, ceramiki, m.in. zastaw stołowych, wyrobów metalowych (m.in. sztućców), lamp i różnego rodzaju drobiazgów. Ekspozycję uzupełniają dzieła „sztuki nieużytkowej” – obrazy, gobeliny i rzeźby. Zbiory, głównie europejskie, prezentowane są w układzie chronologicznym – od średniowiecza po czasy współczesne

Dla wielu zwiedzających główną atrakcją Zamku jest wieża i znajdujący się w jej górnej części dwukondygnacyjny punkt widokowy (w kondygnacji dolnej „zakryty” z widokiem przez okna, w kondygnacji górnej „odkryty” z widokiem przez krenelaz). Szczyt wieży dostępny jest po pokonaniu prawie 200 schodów lub przez wjazd windą. (Ponad 99 % zwiedzających wybiera ten drugi wariant dotarcia do tarasów). Z wieży zamkowej rozciąga się wspaniały widok na miasto i jego bliższe okolice. Pięknie prezentuje się Stary Rynek z ratuszem i bazyliką farną, nieco dalej Ostrów Tumski z Katedrą, osiedla na Ratajach, od Zachodu centrum miasta, a na północ, na horyzoncie Góra Moraska (154 m n.p.m) i Góra Dziewicza (143 m n.p.m.) odległe ok. 10 km od Zamku.

Grono byłych działaczy KOZK toczy obecnie batalię o postawienie na stoku Góry Przemysła pomnika króla Przemysła II. Są koncepcje, jest donator (!), brak decyzji władz miejskich...

Obecnie Góra Przemysła z Zamkiem, barokowym kościołem OO. Franciszkanów oraz pomnikiem 15 Pułku Ułanów Poznańskich jest jednym z ciekawszych fragmentów zabytkowego Poznania. Stok Góry jest też jedynym fragmentem zieleni miejskiej na Starówce. ■

„Wierz, żeś szczęśliwą, a w rzeczywistości nią będziesz”,

czyli porady ogrodnicze i małżeńskie polskiego patrioty, który kilka lat spędził w Holandii

GRAŻYNA GRAMZA

Za oknem wiosna. Zielono i kolorowo. Wokół kwiaty, a przede wszystkim tulipany... Niby wszystko już o nich wiemy. Że z Turcji, że holenderskie, że możemy podziwiać je każdej wiosny w Keukenhof!

A jednak nadal znajdzie się coś co mnie zaskoczy. Tym razem czytając o polskich misjonarzach w Holandii nieoczekiwanie wpadło mi w oko nazwisko Piotra Palińskiego. Nie, nie był ani werbistą, ani nie należał do Zgromadzenia Świętej Rodziny (Chrystusowców na początku XX wieku jeszcze nie było). Co więcej, nie złożył ślubów zakonnych. Miał trzy żony i kilkoro dzieci. Pojawił się przy okazji działalności księdza Franciszka Mazurowskiego, o którym wiedziałam, że był kapłanem w porcie w Scheveningen i należał do Stowarzyszenia Polaków w Holandii (1919). Z kolei Piotr Paliński był jednym z założycieli „Ogniska Polskiego” w Rotterdamie, konkurencyjnej organizacji dla Stowarzyszenia, zainicjowanej w 1918 roku. „Ognisko” miało na celu niesienie pomocy i służenie radą Polakom, których los rzucił do Holandii. Nazwisko Palińskiego zwróciło moją uwagę, bo skojarzyło mi się z „Gazetą Bydgoską”. Sprawdziłam, i faktycznie. Urodził się w Fordonie 17.08.1853 roku. Ukończył seminarium nauczycielskie w Kcyni i pracował w szkole w Barcinie. W latach następnych uczył w różnych szkołach, a w 1892 założył Stowarzyszenie Katolickich Nauczycieli Wielkiego Księstwa Poznańskiego z siedzibą w Bydgoszczy. Był też jego prezesem.

W 1895 r. Palińskiemu wytoczono proces za umieszczenie krytyki pruskiego systemu edukacji. Wyrok sądowy pozbawił go praw wykonywania zawodu nauczyciela. Nie mogąc uczyć, został dziennikarzem. Lista czasopism i gazet, w których zamieszczał swoje teksty lub je redagował była bardzo długa. Jednocześnie prowadził działalność patriotyczną – narodową i to w czasach nasilonego Kulturkampf. Piotr Paliński w swoim życiu 25. razy stawał przed sądem, a oskarżenia dotyczyły głównie jego działalności publicystycznej. W 1906 roku zmuszony został do opuszczenia ziem polskich. Znalazł się w Westfalii, gdzie przez 5 lat pracował w Zjednoczeniu Zawodowym Polskim

w Bochum. Był też aktywnym działaczem w towarzystwie śpiewaczym oraz został prezesem „Świętojózafacia”. Miał w planach wydać encyklopedię „Wiedza ludzka”, ale druk został wstrzymany, a on sam musiał opuścić Niemcy.

W latach 1911 – 1919 przebywał w Holandii, gdzie związał się z organizacjami chrześcijańskimi oraz polonijnymi. W czasie I wojny światowej prowadził nauczanie. Zarabiał m.in. jako kierownik polskiego oddziału firmy ogrodniczej. Tutaj opublikował tekst na temat uprawy roślin.

Ilustrowany poradnik zatytułowany „Kultura holenderskich roślin kwiatowych” wydany został w 1913 roku. Miejscem wydania było Hillegom-Haarlem. Na 163. stronach



Piotr Paliński w czasie pobytu w Holandii

Fot. Wikipedia

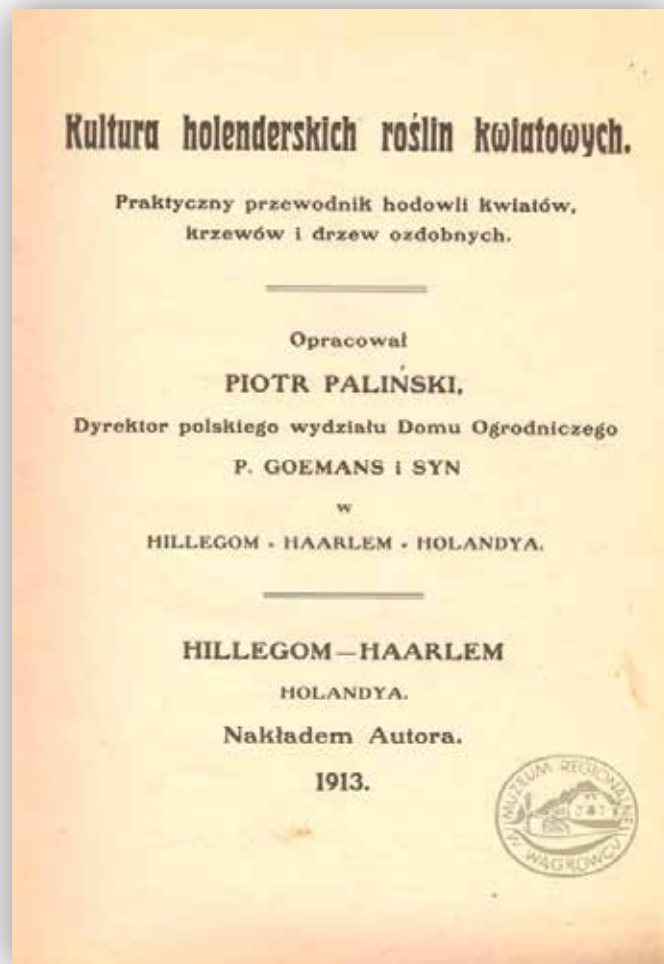
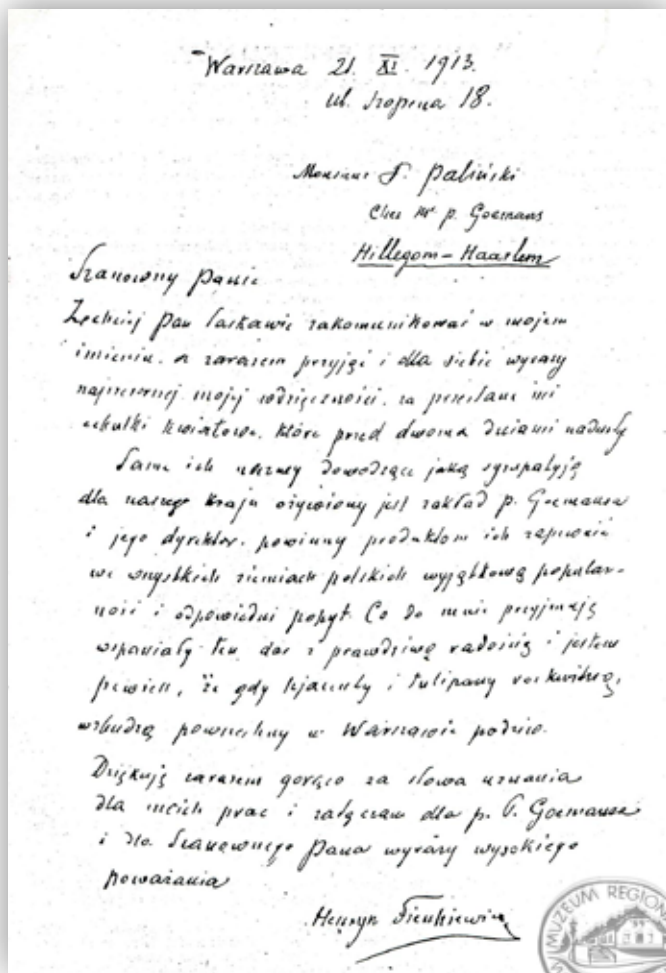
Paliński dawał wskazówki, jak uprawiać różne rośliny ozdobne. Co istotne, był autorem polskiego nazewnictwa holenderskich tulipanów. Pracę tę docenił sam Henryk Sienkiewicz, który z Palińskim prowadził korespondencję i któremu spodobało się, że nadane nazwy nawiązywały do polskich wydarzeń historycznych i patriotycznych. Podtrzymując tradycję, prawnuk Piotra Palińskiego, Wawrzyniec Wierzejewski, z okazji setnej rocznicy wybuchu Powstania Wielkopolskiego, był jednym z „chrzestnych” tulipanów, które poświęcono generalom: Stanisławowi Taczakowi oraz Józefowi Dowborowi – Muśnickiemu. Nowe odmiany tulipanów, zostały wyhodowane w Holandii przez Jana Ligtharta. Kwiaty są barwy białej i czerwonej i mają nawiązywać do kolorystyki flagi Rzeczypospolitej Polskiej. Biały tulipan w 2018 roku otrzymał imię gen. Stanisława Taczaka, zaś czerwony – drugiego w kolejności dowodzącego powstaniem, gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Przebywając w latach I wojny światowej w Holandii, Piotr Paliński opracował również 19-tomową obszerną kronikę wydarzeń, którą po odzyskaniu niepodległości przekazał do Archiwum Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, Paliński wrócił do kraju i objął stanowisko profesora w Seminarium Nauczycielskim, początkowo w Koźminie, a następnie w Rawiczu. Nadal wiele pisał, a w Rawiczu założył i redagował „Dziennik Rawicki”. Po przejściu na emeryturę osiadł w Wągrowcu, tam zmarł i tam został pochowany. Przeżył prawie 97 aktywnych lat.

Potomkiem Piotra Palińskiego jest wspomniany Wawrzyniec Wierzejewski – prezes wielkopolskiego oddziału Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego, pochodzący z rodziny znanego poznańskiego drukarza. Córka Piotra, Anna, wyszła za mąż za Andrzeja Wachowiaka, działacza morskiego w Gdyni, twórcę obchodzonego w Polsce „Święta Morza”.

Na zakończenie tylko dodam, że Piotr Paliński oprócz wielu artykułów, napisał ponad 40 książek. Jedną z nich jest niezwykle intrygująca pozycja wydana w Poznaniu pod koniec XIX wieku i wznowiona w 2011 roku: „Prawidła grzeczności i przyzwoitości dla wszystkich stanów, a mianowicie dla kochanego ludu polskiego”. Autor dzieli się w niej życiowymi radami. Szczególnie te dla kobiet są ciekawe. Pytanie czy nadal aktualne? Przykłady: „Wobec męża bądź tak uważającą, jak kiedyś dla narzeczonego. Pytaj zwykle wprzód o jego życzenia, a potem dopiero pomyśl o swoich” lub „Na to, co mąż twój w gniewie mówi nie zważaj”. Tak... Trąci myszką! Ale inna rada Palińskiego jest jak najbardziej na czasie: „Wierz, żeś szczęśliwą, a w rzeczywistości nią będziesz.” Szczególnie kiedy wokół tyle tulipanów i innego kwiecia!

EINDHOVEN, 2.05.2021 R.



Ze strony FACEBOOK-a Muzeum Regionalnego w Wągrowcu: <https://www.facebook.com/opatowka/posts/1753206651428270/>

Dla zainteresowanych książką „Kultura holenderskich roślin kwiatowych” informacja, że pozycja jest dostępna online w bazie: <https://www.delpher.nl> Wystarczy w wyszukiwarce należy wpisać tytuł książki i możemy już kartkować.

Poradnik „Prawidła grzeczności i przyzwoitości dla wszystkich stanów, a mianowicie dla kochanego ludu polskiego” przypomniał portal „Ona” w tekście „Nie pokazuj się twojemu mężowi nigdy brzydką... 16 porad małżeńskich

z 1887 roku”, który znajduje się pod adresem: <https://gp24.pl/nie-pokazuj-sie-twojemu-mezowi-nigdy-brzydko-16-porad-malzenskich-z-1887-roku/ga/c6-13900104/zd/45553606>

Danuta Ławniczak

Letni list

Nie będę się z wierszem narzucać
Nudnymi zwrotkami zadręczając
Klucząc ucząc narzekając
W kolko trata...tata...tata...
Zabiorę tylko kwiatów naręcząc
I z siebie wychodzę do lata!

Na boku poleżę pod drzewem wiśni
Na śpiąco policzę obłoki
Na ciepłym niebie
Gołębiem pocztowym lekkie nadam myśli
Hen za ocean
Lub na parapet, do ciebie.

Do sukienek, do motyli
Do kwiatuszków polnych,
I leśnych jagódek...
Dość niedomówień bez końca
Niniejszym wychodzę z siebie
I z domu wychodzę do słońca

Mieszkańcy wsi ratują miliony zwierząt



BARTOSZ ZAJĄC

Mysłąc o proteście większość z nas ma zwykle na myśli spektakularną akcję, która zdobywa duże zainteresowanie mediów i opinii publicznej. Z kolei aktywista, zwłaszcza taki, który ratuje zwierzęta, to w powszechnym wyobrażeniu człowiek młody, zwykle z dużego miasta, najczęściej na wegańskiej lub wegetariańskiej diecie. Protesty organizowane przez aktywistów prozwierzęcych przybierają formę happeningów, pikiet przed biurami polityków. Zdarzają się też wielotysięczne przemarsze obrońców zwierząt, jak ten w Warszawie 13

września 2018. W Polsce na los zwierząt ma też jednak wpływ inny ruch. Tworzony oddolnie przez mieszkańców wsi, osiągający bardzo konkretne rezultaty. Ruch ratujący zwierzęta przed koszmarem życia na fermach przemysłowych – tu i teraz.

Mieszkańcy wsi protestują zwykle przeciwko budowaniu ferm przemysłowych w ich najbliższym sąsiedztwie. Ich pobudki są oczywiście różne. Niektórzy protestują w trosce o środowisko, inni bojąc się o zdrowie własne i rodziny. Jeszcze inni zwracają uwagę na problemy ekonomiczne zafermionych gmin i powiatów. Część z protestujących zwraca także uwagę na cierpienie zwierząt wpisane w model hodowli przemysłowej. Troska o zwierzęta nie jest jednak głównym motorem tych protestów. A jednak z punktu widzenia minimalizowania cierpienia odnoszą one ogromny sukces.

Kiedy inwestor napotyka opór społeczności lokalnej, cały proces prowadzący do wydania lub odmowy zgody na budowę fermy znacznie się wydłuża. Czasem o kilka miesięcy, a przy deter-

minacji obu stron, bywa, że i o kilka lat. Nawet jeśli taka ferma ostatecznie powstanie, to dzięki opóźnieniu budowy wywołanemu przez protest mieszkańców, setki tysięcy, a czasem miliony zwierząt unikną okrutnego losu. Przykładowo, w ciągu roku na fermę zbudowaną na milion kurczaków brojlerów trafiłoby ponad 7 milionów ptaków. Trafiłoby, gdyby nie protesty we wsiach takich jak Kawęczyn. Mieszkańcy od ponad 5 lat blokują tam budowę kurników przemysłowych na 1.029.000 brojlerów w jednym cyklu. W ten sposób uratowali już przed piekłem hodowli przemysłowej prawie 37 milionów zwierząt!

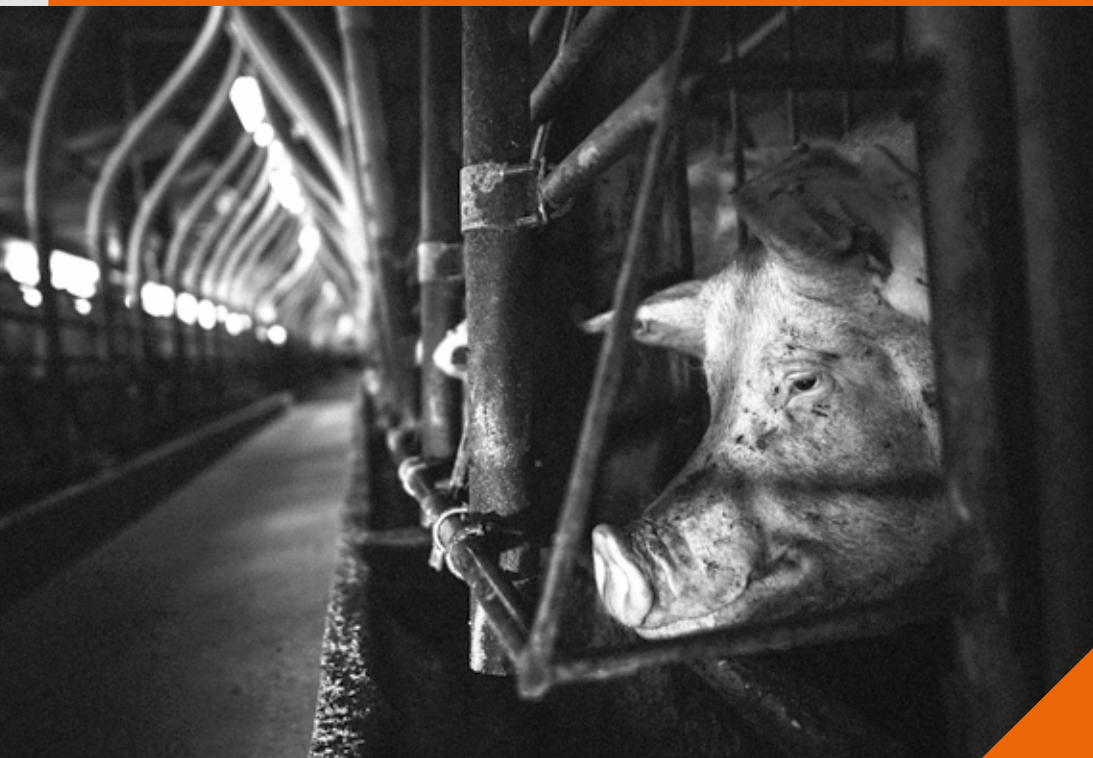
Być może protestujący mieszkańcy wsi nie są typowymi aktywistami prozwierzęcymi. Z pewnością większość z nich je mięso i inne produkty odzwierzęce, a w protesty angażują się zwykle z pobudek innych niż empatia wobec zwierząt hodowlanych. Ale czy dla zwierząt ma to jakiekolwiek znaczenie? Poza tym, czy empatia wobec tych zwierząt i zmiany w nawykach konsumpcyjnych kształtowanych przez społeczne normy nie stanowią procesu, drogi, na którą wchodzimy na różnych etapach naszego życia i z różnych powodów?

W latach 2009-2019 przeciwko budowie ferm przemysłowych w Polsce toczyło się przynajmniej 841 protestów wiejskich społeczności. Każdy z tych protestów oznacza tysiące, a czasem miliony zwierząt, które uniknęły piekła hodowli. Wielu mieszkańców zaangażowanych w te działania założyło stowarzyszenia walczące dziś o czystą wieś, środowisko naturalne wolne od skażenia przemysłowym rolnictwem i ochronę zagrożonych gatunków żyjących na polskiej wsi. Dzieli się zdobytą wiedzę i wspierają mieszkańców walczących z fermami przemysłowymi w innych rejonach Polski. Działająca w ramach Otwartych Klatek Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym zrzesza prawie 40 takich stowarzyszeń, a z wieloma innymi utrzymuje stałą współpracę. To ogromny oddolny ruch społeczny, który każdego dnia minimalizuje skalę cierpienia powodowanego przez fermy przemysłowe. W imieniu zwierząt dziękujemy mieszkańcom polskich wsi za te działania.



MUZEUM HODOWLI

ZAPRASZAMY DO ODWIEDZENIA JEDNODNIOWEJ WYSTAWY
UL. WIEJSKA 4/6/8, WARSZAWA
11.08.2021, GODZ. 11:00–16:00



PRZEMYSŁOWEJ



KOALICJA SPOŁECZNA
STOP FERMOM
PRZEMYSŁOWYM

46



FPFF

FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH

20 - 25 września 2021 | GDYNIA

www.festiwalgdynia.pl
@FPFFGDYNIA
#46FPFF